Cena 1 rb. 50 kop.

Nowe Widnokręgi

DWUTYGODNIK

Rok V. Nr 7. 15 maja 1945 r.



STALIN



CHURCHILL



TRUMAN

CENA I WARTOŚĆ ZWYCIĘSTWA

W którymś z sowieckich filmów dokumentalnych jest scena, kiedy artylerzysta, po oddaniu w bitwie ostatniego strzału, nasuwa pokrowiec na lufę działa i troskliwie przewiązuje go rzemykiem. Żołnierz jest czarny od dymu i ziemnego pyłu, pot żłobi głębokie bruzdy w jego twarzy, ale nie widać na niej znużenia ani zobojętnienia, tylko uśmiech zadowolenia i ulgi: jeszcze jedno miasto zdobyte, jeszcze jeden krok, zbliżający do ostatecznego zwycięstwa.

I oto zwycięstwo nadeszło. W uśmiechu żołnierza, który o północy z 8. na 9. maja osłaniał pokrowcem swe działo, było coś więcej chyba, niż zadowolenie i ulga: był tryumf i duma, jaką daje poczucie ciężkiej, dobrze spełnionej i zakończonej pracy.

Bo ta wojna nie zakończyła się, jak tyle innych przed nią, przy stole konferencyjnym: tę wojnę żołnierz na placu boju doprowadził do końca. Armia niemiecka została pobita doszczętnie, zdruzgotana, starta na miazgę. Ustrój, któremu Hitler wróżył tysiącletnie panowanie, rozsypał się w proch.

Dokonał tego przede wszystkim żołnierz. Hitlerowscy generałowie, wyzyskujący w angielskiej niewoli ciekawość gazetowych reporterów, już dziś chętnie udzielają wywiadów na temat przyczyn klęski; i oczywiście szukają ich wszędzie, tylko nie tam, gdzie należy. Więc główny winowajca — to, rzecz prosta, Hitler: zdaniem Kesselringa i innych generałów, klęskę spowodowało nade wszystko „niefachowe kierownictwo Hitlera". Że wyznawców geniuszu führera znaleźć dziś w Niemczech niełatwo, to rzecz zrozumiała; sam Goering ze łzami w oczach zaklina się w wywiadzie — bo i on już udziela wywiadów — że nie jest hitlerowcem. Ale choć awanturnicza strategia Hitlera była niewątpliwie jednym ze źródeł klęski — wojnę przecież prowadzili generałowie, specjaliści, najtęższe głowy niemieckiego sztabu generalnego! Na cóż się zdały talenty Modela i Buscha, Keitela i Rommela, Mannsteina i Kesselringa, skoro od końca 1942 roku, od przełomu pod Stalingradem, Niemcy nie wygrali ani jednej bitwy? Hitler zapędził się nad Wołgę nie dlatego, że się lubował w stepowych widokach, tylko dlatego, że jego generałowie nie potrafili pokonać Armii Czerwonej pod Moskwą. Paulus przegrał Stalingrad, Rommel Afrykę, Mannstein Ukrainę, Busch Białoruś, Rundstaedt Normandię, a admirał Doenitz bitwę o Atlantyk. Jeśli zaś mowa o strategii Hitlera, to awanturniczość jej polegała przede wszystkim na tym, że zmierzała do absurdalnego w samym założeniu panowania nad światem; ale w tym właśnie dążeniu niemiecki sztab generalny popierał go jak najusilniej.

Inna wersja przypisuje klęskę Niemiec „terrorystycznym nalotom" sojuszniczym. Jest to typowy chwyt hitlerowski, usiłujący jednym wystrzałem ubić trzy zające: zrzucić odpowiedzialność z wojsk, które walczyły na froncie, i z ich dowódców, stworzyć przesłanki do nowej legendy o „ciosie w plecy", wymierzonym przez zdemoralizowaną nalotami ludność cywilną, a wreszcie punkt ciężkości w zasłudze zwycięstwa przesunąć ze wschodu na zachód. Jednakże teorie, że wojnę można wygrać w powietrzu, błąkały się po umysłach tylko do czasu bitwy o Anglię w roku 1940. Niemiecki sztab generalny stawiał wówczas na lotnictwo — i tę stawkę przegrał. Odtąd koncepcje te służyły jedynie za parawan tym, którzy dla tych czy innych celów usiłowali wojnę przedłużyć. Działania lotnictwa sojuszniczego nad Niemcami były wprawdzie znacznie potężniejsze, niż operacje Niemców nad Anglią, i odegrały niewątpliwie określoną rolę w ograniczeniu niemieckiej produkcji wojennej; ale miliony żołnierzy musiały jednak oddać swe życie, zanim przełamane zostały pasy fortyfikacyj, wały obronne i „zęby smoka", i te ofiary przyniosły zwycięstwo.

Jeszcze inni komentatorzy przy pomocy subtelnej analizy usiłują wykryć błędy w działaniach tych lub owych niemieckich generałów i tym wytłumaczyć klęskę — jak gdyby wojna była partią szachów, której wynik zależy wyłącznie od dobrej gry. Ale i to jest tylko furtka dla przyszłych niemieckich strategów, by mogli kiedyś się chełpić, że błędy ich poprzedników nie będą powtórzone; wszak i Hitler wołał na początku tej wojny, że błąd niemiecki z pierwszej wojny światowej tym razem się nie powtórzy. Umiejętnością gry można było zwycię-



BOLESŁAW BIERUT
Prezydent Krajowej Rady Narodowej

żać w turniejach rycerskich, dziś jednak wojnę wygrywa ten, kto jest silniejszy — silniejszy materialnie, silniejszy moralnie.

Był jednak czas, kiedy materialna siła Niemiec hitlerowskich zagrażała wolności świata. W czerwcu 1941 roku, kiedy armia hitlerowska ruszyła na podbój Związku Radzieckiego, była u szczytu swej potęgi. Wówczas jednak wciągnięty został do wojny nowy czynnik, którego nie brał w rachubę ani Hitler, ani jego generałowie: siła moralna Związku Radzieckiego, jego spoistość wewnętrzna, jego postawa duchowa. Ona to wyzwoliła w narodach Związku Radzieckiego, skupiła i rzuciła do walki takie siły materialne, takie zasoby męstwa, ofiarności i wojennego kunsztu, że niezwyciężona armia hitlerowska załamała się i rozprysła. I ona też zespoliła wszystkie wrogie faszyzmowi siły i z wojny zaborczej, wznieconej przez Niemcy, uczyniła wojnę o świętą sprawę wolności.

Zwyciężyła w tej wojnie postawa moralna sowieckiego obywatela, męstwo sowieckiego żołnierza, geniusz jego wodza, Marszałka Józefa Stalina.

Od chwili marszu Mussoliniego na Rzym, poprzez przewrót hitlerowski, pakt antykominternowski, wojnę hiszpańską aż do Monachium wszystkie sukcesy faszyzmu w Europie, wszystkie jego zdobycze, cały potworny rozrost jego potęgi opierał się na tym jednym podstawowym argumencie, że posłannictwem faszyzmu jest walka z „niebezpieczeństwem bolszewickim". Dlatego ustępowano mu z drogi, dlatego przypatrywano się w milczeniu, jak wzrastał w siłę, dlatego przyznawano mu prawo posiadania tego, co przemocą zagarnął. Od dwudziestu lat działy się w Europie bezprawia, legitymujące się obroną demokracji przed komunizmem; tak mordowano Europę w imię jej zbawienia. Napaść Hitlera na Polskę była początkiem przełomu, ale nie była jeszcze przełomem; Francja, rozbita wewnętrznie przez rządy monachijczyków, długie miesiące prowadziła jeszcze „drôle de guerre", i przez tychże monachijczyków zdradzona, pozwoliła się obezwładnić w imię tego samego hasła. Dopiero po podbiciu całego pozostałego kontynentu europejskiego Hitler rzucił się na Związek Radziecki. Hasło krucjaty antybolszewickiej miało mu teraz zapewnić pełną współpracę krajów podbitych, to znaczy całkowite ich ujarzmienie. To hasło zawiózł do Anglii samolotem Hess, w nadziei wytargowania jeszcze jednego Monachium; to hasło realizował we Francji Laval, w Norwegii Quisling, w Czechosłowacji Hacha. A im bardziej szale wojny przechylały się na niekorzyść Hitlera, tym zajadlej darły się Goebbelsy i Dittmary, że ginie cywilizacja europejska, że trzeba bronić Europy przed zagładą ze wschodu. Cała gra polityczna Hitlera na rozbicie koalicji antyfaszystowskiej opierała się na tym jednym argumencie, i ten argument usiłowała wygrać do końca. Jeszcze w przededniu ostatecznego załamania chwytał się go Himmler, jak deski ratunku, proponując Anglii i Ameryce jednostronną kapitulację Niemiec; jeszcze w ostatniej chwili ponawiał te propozycje admirał Doenitz; i już po podpisaniu kapitulacji „wyłamały się" spod niej wojska feldmarszałka Schernera, by zachować do końca i utrwalić legendę o posłannictwie hitlerowskich Niemiec.

Ale właśnie w toku wojny okazało się najjaskrawiej, że podbój Związku Radzieckiego jest dla faszyzmu jedynie szczeblem do panowania nad światem; że faszyzm jest wrogiem wszelkiej wolności, wszelkiej cywilizacji i kultury. Pod rządami Hitlera cała Europa stała się jednym ponurym lochem więziennym. „Kapo", pospolici zbrodniarze rządzili życiem ludzkim nie tylko w obozach śmierci; nad całą Europą i nad samymi Niemcami władzę sprawowali bandyci, zboczeńcy, degeneraci. To, co na zewnątrz maskowało się szyldem „antybolszewizmu", w istocie było brudną, nikczemną aferą, w której jednych kupowano za pieniądze, innych zwabiano oszustwem, jeszcze innych uprowadzano siłą — aby służyli hitlerowskiemu więzieniu narodów. Francuskie koncerny przemysłowe zarabiały krocie na dostawach wojennych, na brudnych aferach, na wyzysku najbiedniejszych; ceny na rynku dyktowały trusty, kierowane przez zwykłych złoczyńców, kryminalistów wypuszczonych z więzień lub zbieranych po portowych spelunkach; sprzedawczyk Doriot, zanim został ministrem, pobierał od Niemców za swą patriotyczną służbę Nowej Europie czternaście milionów franków miesięcznie; Laval wyrzucał robotników na bruk, a Pétain błogosławił ich na drogę do Niemiec znakiem swastyki. Druty kolczaste obozów opasały całą Europę, pociągi śmierci zwoziły surowiec do krematoriów, nawóz kostny użyźniał glebę pod antybolszewicką kapustę. Szumna etykieta „Nowy ład w Europie" służyła tylko za opakowanie nędznemu kawałkowi „Judenseife", mydła wyrabianego z ludzkiego tłuszczu ku chwale niemieckiej przedsiębiorczości.

I jedyną myślą, jaka krzepiła ludzi w tej wędrówce ku śmierci, była wiara, że musi wreszcie znaleźć się siła, która tę przemoc szatana na ziemi obali. Ta siła znalazła się właśnie w Związku Radzieckim: to on potrafił powstrzymać zwycięski pochód hitleryzmu, to on stanął na czele wszystkich walczących o wolność ludów i on im tę wolność swoją ofiarą i męstwem przywrócił.

Jest jeszcze jedna legenda, która już dziś się montuje cegiełka po cegiełce ku pożytkowi przyszłych prusackich pokoleń: to legenda o niemieckim bohaterstwie. Admirał Doenitz śpiewa peany na cześć niemieckich żołnierzy, którzy „do końca wytrwali na posterunku"; generał Scherner, odmawiając złożenia broni, chce niesławnej zagładzie swej armii przydać aureoli bohaterstwa. Choć nie ma już Goebbelsa, propaganda hitlerowska już dziś usiłuje ukuć kapitał z postawy narodu niemieckiego, który „pozostał wierny führerowi do ostatniej chwili" i nie odwrócił się od niego w chwili klęski, jak się odwrócił od Wilhelma w roku 1918.



Marszałek MICHAŁ ROLA-ŻYMIERSKI
Naczelny Dowódca Wojska Polskiego

To prawda, że u schyłku tej wojny nie było „ciosu w plecy": hitleryzm wojnę wywołał, i on sam doprowadził ją do końca, aż do własnej zagłady. Ale to, że ów cios nie nastąpił, nie jest tytułem do chwały; to tylko jeszcze jedna hańba Niemców. Wydawać się przecież mogło już od dawna, że ten cios musi wreszcie nastąpić; że naród niemiecki, widząc nieuchronną klęskę i wiedząc, kto jest jej winowajcą, sam obali zbrodniczy rząd hitlerowski, sam rozprawi się z własnymi katami. Można było wierzyć, że to będzie istotne przebudzenie narodu niemieckiego z otępienia, w jakie wtrącił go hitleryzm; można było wreszcie się spodziewać, że choćby w ostatniej chwili, dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności za zbrodnie, w które wciągnął go faszyzm, dla złagodzenia warunków kapitulacji naród niemiecki postara się o usunięcie tych, których świat cały uważa za głównych winowajców wojny. Nie wybuchła w Niemczech rewolucja, nie usiłowały dojść do głosu nawet tak zwane „czynniki umiarkowane", drugi garnitur faszystowski, sfery przemysłowe, ludzie interesu, zachowani na czarną godzinę mężowie opatrznościowi. Władzę po Hitlerze objął admirał Doenitz, jego zaufany podwładny i najwierniejszy sługa; kapitulację podpisał feldmarszałek Keitel, filar niemieckiego sztabu generalnego. Żołnierz niemiecki nie zwrócił broni przeciwko tym, którzy pchali go do zbrodni, naród niemiecki pozostał niemy. Nie znalazł się w Niemczech człowiek, który by zawołał donośnym głosem, że ten naród zrywa ze zbrodnią, że chce odkupić swe winy. W milczeniu naród niemiecki ruszył za Hitlerem na podbój świata i w milczeniu wraz z nim poszedł na dno. Nie ma w tym nic z bohaterstwa załogi, która nie opuszcza swego dowódcy do śmierci; to raczej zatwardziałość przestępcy, który nawet na śmiertelnym łożu niezdolny jest do skruchy. Nie, w ostatnich dniach niemieckiej katastrofy nie ma patosu ani wzniosłości. Domy obwieszone białymi chorągwiami, armie oddające się na za-




Święto zwycięstwa w Moskwie

chodzie do niewoli bez wystrzału, burmistrze wręczający zwycięzcom klucze miast — oto obraz niemieckiego bohaterstwa. W żadnym narodzie klęska wojenna nie mogłaby wywołać takiego zaniku dumy narodowej, takiego upadku ludzkiej godności.

Drogo okupiła ludzkość swe zwycięstwo. Nie było jeszcze wojny, która by pozostawiła po sobie tak straszliwe spustoszenia. Nie było wojny, po której przestałyby istnieć całe miasta, w której ludność całych państw byłaby tak zdziesiątkowana, wytrzebiona, rozproszona po świecie. Ale też nigdy jeszcze ludzkości nie zagrażało tak śmiertelne niebezpieczeństwo, i nigdy ofiara krwi, złożona wojnie, nie była tak święta i płodna.

Nasz naród poniósł w tej wojnie bardzo ciężkie ofiary. Byliśmy pierwsi, na których spadła brutalna przemoc hitlerowskiego najazdu, i byliśmy jednym z tych narodów, które hitleryzm skazał na wytępienie. Nie godziliśmy się z naszym losem, walczyliśmy, i ta walka pomnażała nasze ofiary. Ale ta walka także przyniosła nam zwycięstwo, ta walka pozwala nam dziś czcić pamięć naszych poległych nie jako tych, co zginęli w zawierusze dziejowej, lecz jako współtwórców naszego wyzwolenia i naszej przyszłości. Niech będzie błogosławiona krew przelana w tej wojnie przez naszych braci — od garstki obrońców Westerplatte, od dzieci, które poległy we wrześniu na szańcach Warszawy, aż po tych, którzy po sześciu latach zanieśli oręż polski nad Szprewę i Łabę. Niech będzie błogosławiona krew partyzantów polskich i krew wytoczona z ciał naszych w obozach śmierci. Niech będzie błogosławiona krew wszystkich, co zawiśli na szubienicy, i tych, co zginęli od hitlerowskiej kuli, i tych, co skonali w katowniach gestapo. Z tego posiewu krwi wyrośnie Nowa Polska.

JERZY PAŃSKI

ZYGMUNT OSKIERKO

Julian Brun-Bronowicz

Jak mało kto, całe swe życie, swą wiedzę rozległą, swój talent myśliciela i pisarza, swą ogromną kulturę literacką, swą energię i wszystkie swe poczynania praktycznego działacza, — oddał sprawie swego narodu od zarania życia aż do zgonu.

My, budujący dziś od fundamentów gmach Nowej, Demokratycznej Polski — obficie czerpiemy z przygotowanego przezeń tworzywa, z jego dorobku ideologicznego.

Leży przede mną paczka jego utworów literackich i publicystycznych, drukowanych w różnych czasach, garść maszynopisów przemówień, wygłoszonych przez radio, i jeden rękopis — życiorys własny, datowany 11 sierpnia 1941 roku...

Z pism tych i z czynów jego wyrasta przed nami piękna postać wielkiego Polaka-rewolucjonisty, myśliciela i działacza, niezłomnego i śmiałego patrioty.

Bo świetny kunszt słowa nie był dla Bruna (Spisa) narzędziem sztuki dla sztuki. Całą swą sztukę pisarską oddał na służbę sztuce życia, życia wolnego i sprawiedliwego, jakiego łaknął i jakie propagował.

Na pytanie, kim był, odpowiada pośrednio sam Julian w swej głośnej pracy o Żeromskim, kiedy, nawiązując do marzenia Szeli w „Turoniu", „żeby się znalazł taki — nie z was, ino z nas, co by pisać umiał, a żeby nadto tak wszystko pamiętał, jak Bóg pamięta...", powiada:

„Niekoniecznie musi to być chłop z chłopa, może być — są na to liczne przykłady historyczne — wychodźca z wyższej klasy społecznej, ale musi spalić wprzód w duszy bardzo wiele z tego, co wessał w dawnym swoim środowisku. Jedyny sposób „czerpania z ludu" to wlać się samemu w jego dążenia i aspiracje bez reszty".

Takiego typu pisarzem ludowym w najlepszym tego słowa znaczeniu, pisarzem, który oddał się bez reszty na służbę ludu — był właśnie Julian Bronowicz. „Wychodźca społeczny" z wyższej klasy, urodzony w Warszawie 21 kwietnia 1886 r., z domu rodzinnego wyniósł poczucie głębokiej wspólności z losami narodu polskiego i jego kultury, przy czym już z dzieciństwa polskość jego przesiąknięta jest atmosferą tradycji przekonań wolnomyślnych i postępowych.

Pierwsze dziesięciolecie jego życia (1886—1896) przypada na ów okres czulego zbliżenia popowstaniowej reakcji z zaborczym caratem, z kozacką nahajką, trzymającą w ryzach rodzime polskie masy ludowe.

Młodym, postępowo nastrojonym inteligentom polskim stawało się duszno w tej atmosferze sielanki reakcji polskiej z caratem.

Stąd tak liczny udział najlepszych synów polskiej inteligencji szlacheckiej i najdzielniejszych robotników w szeregach „Proletariatu". — Rok urodzenia Juliana, rok 1886, znaczy się w historii Polski pamiętną datą pierwszej po powstaniu szubienicy w Warszawie. 28 stycznia tego roku zawiśli na niej nowi bojownicy, nowi chorążowie sztandaru walki „Za naszą wolność i Waszą" — trzej Polacy: Kunicki, Ossowski, Pietrusiński i Rosjanin Bardowskij.

Po rozbiciu przez carską ochranę i carskie sądy organizacji I „Proletariatu", ostatni dziesiątek lat zeszłego stulecia — to okres burzliwych sporów i dyskusji w kołach związanych z polskim ruchem robotniczym co do roli hasła Niepodległości Polski.

Do ruchu demokratycznego w Polsce, a zwłaszcza do jego zagranicznych, emigracyjnych „przedstawicielstw", coraz aktywniej i energiczniej zaczynają przesiąkać ludzie, którzy poczuli wielką siłę i jeszcze większą tego ruchu przyszłość. Ludzie ci, przeważnie nieodrodni synowie szlachetczyzny, którą rozwój wypierał teraz coraz bardziej ze sceny dziejowej, — w opanowaniu młodego ruchu robotniczego i ludowego i wykorzystaniu go dla ratowania swych egoistycznych interesów dostrzegli jedyne wyjście dla sfer uprzywilejowanych w Polsce.

Po zabójstwie Aleksandra II, dokonanym na podstawie wyroku rosyjskiej organizacji rewolucyjnej przez Polaka Hryniewieckiego — na tron carski wstępuje Aleksander III (1881—1894). Następuje okres rugów narodowościowych i religijnych.

Kotłowało się w polityce międzynarodowej. Dobiegał końca kolonialny podział świata. Stopniowo kształtowały się **dwie wielkie koalicje mocarstw światowych,** nagromadzały się chmury gradowe, akumulujące gromy nadciągającej pierwszej wojny europejskiej.

I tu właśnie w owe lata zarysowującego się już konfliktu europejskiego pojawiają się w pewnych kołach społeczeństwa polskiego pierwsze kiełki orientacji niemieckiej. Zrodziły ją różne czynniki: strach przed czerwienią ruchu robotniczego w kraju i jego związek z ruchem rewolucyjnym rosyjskim, rugi narodowościowe Aleksandra III i Mikołaja II, a wreszcie niesamowity, hypnotyzujący urok, jaki rzucała na te koła rosnąca potęga niemiecka.

Na arenę dziejów śmiało, buńczucznie — pod batutą Bismarcka — tego ideologicznego i organizacyjnego przedsłańca Hitlera — wkraczał imperializm niemiecki. 3 lutego 1888 roku Bismarck ogłasza traktat przymierza, zawarty potajemnie jeszcze w 1879 r. przez Niemcy z Austrią, i w 3 dni później występuje ze swą słynną mową w parlamencie przy debatach nad rozbudową nowego niemieckiego imperium drogą stworzenia Landwehry i Landsturmu, t. j. **totalnego** (już wówczas!) wciągnięcia do armii wszystkich Niemców do 45 lat.

Bismarck wygłasza wówczas pamiętne słowa:

„W czasach obecnych możliwa jest tylko taka wojna, która byłaby aprobowana przez wszystkich, mających w niej wziąć udział, inaczej mówiąc — przez cały naród, wojna, która byłaby prowadzona z takim samym zapałem, jak wojna 1870 roku,

kiedy było nam rzucone bezczelne wyzwanie. O, w takim wypadku w jednej chwili podniosłyby się całe Niemcy, od Renu do Niemna, niczym skład prochu; kraj zajeżyłby się od bagnetów i biada szaleńcowi, który śmiałby się zmierzyć z tą teutońską furią... My, Niemcy, boimy się Boga, ale prócz niego, w całym świecie nikogo się nie boimy".

Szaleje już wówczas pierwsza wstępna bismarkowska „Gleichschaltung" — uwertura do unifikacji „narodu niemieckiego", z przymusowym niemczeniem Alzatczyków, Lotaryńczyków, Duńczyków w Szlezwigu i Polaków w Poznańskiem. „Niemcy — stwierdza francuski historyk E. Dénis — wygnali język polski z kościoła i szkoły i korzystając z rozrzutności polskiej arystokracji ziemskiej nasyłali w Poznańskie niemieckich osiedleńców-kolonistów".

Już wówczas oficjalna polityka niemiecka otwarcie grała uwerturę do potwornego prusko-hitlerowskiego planu zamordowania naszego narodu.

Oto ten „plan, jawnie głoszony, ściśle sformułowany", wyłożony z dokładnością aktu oskarżenia sumiennego prokuratora piórem Juliana Bruna („Ziemie polskie pod jarzmem niemieckim"):

„Zagarnąć ziemię polską i jej zasoby materialne... w znaczeniu całkowitego wywłaszczenia Polaków na rzecz Niemców;

„wyrugować Polaków z ziemi ojczystej albo zmienić ich w żywy inwentarz, w bydło robocze, dodatek do maszyny;

„zniszczyć wszelkie wartości duchowe;

„porwać na strzępy więź wspólnych dziejów i wspólnej kultury;

„zepchnąć język polski do poziomu ubogiej gwary, niemocnego bełkotu niewolników;

„wykorzenić z serc i mózgów świadomość zbiorową i wolę narodowego bytu".

Dziś jeszcze, kiedy żołnierz nasz wespół z czerwonoarmistą wyrzucił raz na zawsze hitleryzm i prusactwo z ziem polskich, trzeba znać, trzeba czytać to świetne dziełko Bruna.

W dziewięciu niewielkich rozdziałach znajdzie tu czytelnik encyklopedyczny rzut oka na dzieje zaborów prusko-niemieckich w Polsce, poczynając od pierwszego rozbioru, poprzez okres pokongresowy (1815—48), rewolucję 1848 r., walkę z Hakatą i rugami mowy ojczystej po r. 1873[1]), obie okupacje i morze zbrodni, grabieży i zniszczenia, jakie nam one przyniosły — aż do wniosków najsłuszniejszych p. t. **„Czego uczy historia"** (rozdz. IX).

Oto one:

„Tylko przez rozbiory Polski mogło prusactwo utwierdzić swoje panowanie nad Niemcami.

„Tylko przez zagładę Polski mógł Hitler utwierdzić swoją potęgę i sięgnąć po panowanie nad Europą i światem.

„Oto dlaczego... Polska ma w Niemcach hitlerowskich wroga śmiertelnego, z którym nie może być pokoju, współżycia ani kompromisu. Ktokolwiek w Polsce wchodzi na drogę dogadywania się z najeźdźcą, ten jest zaprzańcem, zdrajcą wobec ojczyzny.

„Wolność i niepodległość Polski nie wymaga ujarzmienia żadnego innego narodu. Lecz wymaga unicestwienia hitleryzmu i wykarczowania w Niemcach najgłębszych korzeni prusactwa. Polska, ludzkość cała i sam naród niemiecki muszą być raz na zawsze zabezpieczone przed odrodzeniem się złowrogiej potęgi, opętanej żądzą łupiestwa i mordu".

* * *

I tu z kolei mógłby ktoś zapytać: jak się to dzieje, że człowiek, którego już w latach 1903—1905 widzimy na skrajnie lewym skrzydle młodzieżowego ruchu socjalistycznego, a od maja 1905 roku w szeregach najbardziej internacjonalistycznej u nas partii — Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, — i potem konsekwentnie i do końca w szeregach walczącego proletariatu — jak się to dzieje, że jest on zarazem tak doskonałym i głębokim znawcą wytycznych polskiej polityki narodowej?

Odpowiedź jest prosta. Przeciwieństwa są tylko pozorne.

„...ruch robotniczy i chłopski — twierdził — porównać można do zdrowych korzeni i młodych pędów, przywalonych przez zbutwiałe, martwe pnie".

[1]) W owym roku rząd niemiecki specjalnym zarządzeniem usunął „ostatecznie" język polski ze szkolnictwa polskiego w ówczesnym zaborze pruskim. „Bismarck pokonał Austrię i Francję, ale tę walkę z chłopem polskim (o mowę ojczystą) przegrał sromotnie" — stwierdza Brun.

Ruch robotniczy nie tylko pociągał go swym młodzieńczym rozmachem i energią, lecz i nie odstręczał swym „separatyzmem klasowym" jak inteligenckich epigonów szlachetczyzny.

Nie straszyło go to, lecz odwrotnie, napawało otuchą, demonstrowało w jego oczach żywotność narodu, dokumentowało wiarę w jego odrodzenie i przyszłość.

Zdawał sobie sprawę z takiej oto prostej jedności pozornych przeciwieństw:

„Choćby... ruch ludowy głosił hasła najbardziej „poziome", materialistyczne i międzynarodowe, przyszłość Polski jest w nim, a nie w wyższej doszczętnie szlachcie i zwyrodniałym od urodzenia mieszczaństwie... Najbardziej kosmopolityczne, najmniej narodowe są t. zw. sfery towarzyskie — wierzchołki szlachecko-mieszczańskiego „społeczeństwa". Klasa robotnicza, podobnie jak lud wiejski, jest głęboko, immanentnie narodowa, nie może być inna. Opanowanie przez te klasy życia społecznego oznacza olbrzymie rozszerzenie, powiększenie narodu. I przeciwnie — wielomilionowy naród, redukowany w swej aktywności dziejowej do cienkiej powłoki swoich klas posiadających, staje się narodem paralitykiem".

Tylko tak pojęty patriotyzm daje klucz, jedynie pasujący do właściwego pojmowania wzajemnych stosunków między wszystkimi miłującymi wolność i pokój ludami, do znalezienia trwałego układu pokojowego współżycia narodów...

Takie pojmowanie patriotyzmu nie jest zresztą „wynalazkiem" Bruna. Nie, on raczej przywraca temu pojęciu jego pierwotną treść, zniekształconą z czasem przez mieszczaństwo i pogrobowców szlachetczyzny.

„Pod rządami Konwentu — przypomina Brun — kiedy to właśnie krystalizowały się nowożytne pojęcia ojczyzny i patriotyzmu, „patriota" jest wręcz przeciwieństwem „arystokraty". Aż do roku 1848 słowo „patriota" w całej Europie oznaczało rewolucjonistę".

„Idea narodowa była zatem rewolucyjną ideą, najściślej związaną z ruchem demokratycznym, dążącym do społeczeństwa bezklasowego"...

A świeżo objawiony naród składał się „ze wszystkich Francuzów, w y j ą w s z y a r y s t o k r a t ó w".

Jakże jasny kontur pomaga nam wytworzyć sobie na tle pozornego chaosu historycznego i myślowego postawa ideologiczna Bruna w tej tak zakłamanej w naszym społeczeństwie sprawie: pojmowania istoty narodu i idei narodowej — patriotyzmu.

Więc z jednej strony — coraz bardziej i coraz wyraźniej wyobcowująca się z narodu arystokracja i epigonowie szlachetczyzny. Te „polskie klasy posiadające nie przejawiały żadnych aspiracji niepodległościowych, a zagrożone w swych interesach materialnych, schroniły się jawnie i cynicznie pod skrzydła władzy zaborczej".

A z drugiej strony — rdzeń narodu, owe masy ludowe, jak je Brun nazywa „immanentnie narodowe", owi socjaldemokraci polscy, których wrogość nieprzejednana do perfidnych planów prusactwa uczynienia z Polski agrarno-surowcowej kolonii dla Niemiec — napawa nas dziś zasłużoną radością i **dumą narodową.**

Oto, jak odpowiedziała na pierwsze u nas próby kwislingowskie polskich agentów generał-gubernatorów Beselera i Kuka partia, do której należał wówczas Brun — SDKPiL:

„W rządzie niemieckim ukazują wam wybawiciela od jarzma niewoli carskiej. A któż to, jeśli nie ten rząd, w zbójecki sposób niszczy nasz kraj i w biały dzień grabież nad nami popełnia? Któż głodzi lud polski, kto go bagnetem pędzi na emigrację, do pracy pańszczyźnianej?... Kto, jeśli nie krwawy rząd niemiecki?

„Od rządu niemieckiego obiecują wam niepodległość Polski! A czy nie ten rząd we Wrześni katował dzieci polskie za pacierz w języku ojczystym, czy nie on chłopom polskim na własnej ich ziemi zabraniał domy budować, czy nie on gwałtem wydzierał ziemię Polakom, czy nie on u siebie w domu kagańcem policyjnym dławił każde słowo polskie? I czy teraz u nas... nie uprawia on dalej tego systemu?"

W przeciągu ostatniego stulecia obóz zdrady interesów narodowych występował częstokroć pod bardzo narodowymi i niepodległościowymi formalnie hasłami. Co więcej, często monopolizował polskość, patriotyzm i niepodległość — nawet wtedy, gdy paktował z zaborcami i handlował wręcz krwią i ziemią polską, gdy w „imieniu narodu" proponował tron polski Romanowym, Habsburgom czy Hohenzollernom, gdy wyrzekał się Poznańskiego, Pomorza i Śląska.

I — szczególnym zrządzeniem historii, dla nas jasnym wszelako i logicznym — patriotyzm istotny znalazł sobie siedlisko w obozie prawdziwej demokracji społecznej, w obozie tych, którzy nienawidząc rodzimej reakcji za jej społeczne wstecznictwo, za to, że była im wroga, jako klasa przeżyta — bronili zarazem — **i tym samym** — Polski najprawdziwszej, istotnie Niepodległej. Swą postawą nieprzejednania wobec caratu i niemieckiego dwuprzymierza kładli oni de facto kamień węgielny pod gmach narodowego i państwowego odrodzenia Nowej Polski.

Przepojony polskością do głębi swej duszy — jest więc Julian Brun nie tylko świetnym znawcą ducha swego narodu, ale — i to już zasługa jego wiedzy i intelektu — znawcą nieporównanym jego historii, dziejów rozwoju sił społecznych w łonie narodu polskiego, dynamiki linii rozwojowej państwa polskiego — ze wszystkimi jej załamaniami, ze wszystkimi blaskami i cieniami.

Ale ukochawszy to, co w Polsce było piękne, nieśmiertelne i nieprzemijające, patrzy na nią nie oczyma zaślepionego miłośnika, a raczej, jak kochający syn — lekarz nie zamyka oczu na patologiczne objawy jej organizmu.

Cechuje go odwaga sięgania do dna roztrząsanej sprawy, „odwaga oświetlania przepastnych zagadnień", która, jego zdaniem, cechowała Żeromskiego w „Przedwiośniu". Tej odwadze duchowej przeciwstawia on ostro „rys intelektualnego tchórzostwa", cechujący oficjalną krytykę polską, którą taki rodzaj odwagi wyraźnie gorszył, bo zakłócał miłe poczucie sytego błogostanu i spokój trawienia.

Jego skalpel badawczy nie cofał się przed żadnymi kwestiami drażliwymi, nie znał miejsc wstydliwych.

Niczego nie tuszował, niczego nie zmiękczał w ogłaszanych wynikach prac, choćby wyniki te najjaskrawiej odbiegały od błogo-optymistycznych, uświęconych orzeczeń oficjalnej naszej historiozofii.

„Ocukrzanie naszej historii — mówił — jest najoczywiściej zbyteczne i szkodliwe. Czas najwyższy nabrać wprawy w słuchaniu gorzkiej i nieocukrzonej prawdy. Nie wstydźmy się ubogiej przeszłości — twórzmy bogatą przyszłość" („Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek").

I wobec takiej postawy badawczej nie dziwota, że znajdujemy w pracach jego twierdzenia arcy-śmiałe, nowe, dalekie od ogólnie przyjętych szablonów i ogólnie uznanych przyzwyczajeń.

I kiedy czytamy książkę o Żeromskim, napisaną w więzieniach warszawskich na przełomie lat 1925/6, to wstrząsa nas jak tchnienie oczyszczającego huraganu ta „siła fatalna", przepojona najgłębszym umiłowaniem ojczyzny, siła oskarżycielska, w stosunku do tych właśnie polskich rodzimych czynników, które zastój i niewolę Polski utrwalały, grodząc jej uparcie drogi postępu, rozwoju, drogi do wyzwolenia i niepodległości razem wiodące.

Główna idea tej książki to, według jego własnych słów, które czerpię z pośmiertnego rękopisu,

„założenie, że Niepodległość i narodowa przyszłość Polski może być zapewniona jedynie w rezultacie głębokiego przewrotu społecznego, który zniweczy całą spuściznę historyczną szlachetczyzny".

I obok tego akordu antypruskiego, który stał się dominantą jego poglądu na rolę Polski w Europie i wśród Narodów Zjednoczonych. — ów akord antyszlachecki, akord antypańszczyźniany, ów głos oskarżenia szlachty, zespolony w jedno z oskarżeniem zewnętrznych wrogów Polski — jest najgłębszym, najbardziej konsekwentnym i najbardziej narodowym zarazem motywem jego oskarżeń.

„Kartagina szlachecka” winna być zniszczona, aby żyła Polska — dowodzi i uczy, pokazuje i powtarza z wytrwałością i uporem.

Oto urywek z pasma jego namiętnych w tej materii dowodzeń:

„Pamiętać należy, jak strasznie pomściło się na Polsce zaślepienie opinii szlacheckiej, nie chcącej widzieć, co się dzieje poza granicami Rzeczypospolitej. Prześlepiono zarówno wzrost potęgi pruskiej, jak przeistoczenie się moskiewskiego carstwa w europejskie mocarstwo. Chełpliwość szlachecka łatwo przechodziła do porządku (a raczej nieporządku) dziennego ponad wszystkim, co inne „podlejsze nacje“ mogą wymyśleć czy przedsięwziąć“ („Żeromskiego tragedia pomyłek“).

Na pytanie, czy nowoczesna świadomość narodowa powstała i rozwijała się u nas podobnie jak na Zachodzie, Brun odpowiada przecząco.

„W dawnej Polsce, wobec zaniku idei dynastycznej, mógł się wytworzyć surogat tej świadomości, ale nie odpowiada on bynajmniej późniejszemu pojęciu narodu... Był naród szlachecki — reszta nie wchodziła w rachubę“. Polskość „chłopa i nawet mieszczanina były rzeczą obojętną“ (tamże).

„Nowoczesny patriotyzm przyszedł do nas z jakobińskiej Francji za pośrednictwem kołłątajowskiej „Kuźnicy“ i emigracji polistopadowej. Zostaliśmy przyjęci do Młodej Europy, witani przez nią z entuzjazmem. Lecz patrioci „Młodej“ Europy krwawili w rewolucyjnej i klasowej walce z własnymi rodakami o swój ideał narodu i państwa. U nas nie było takiej dźwigającej się wzwyż klasy, która by przyszłość i wielkość narodu związała z własnymi aspiracjami. Kołłątajowcy instynktownie odczuwali ten brak organiczny w naszej strukturze społecznej i ze wszystkich sił starali się rozruszać anemiczne, zahukane mieszczaństwo“.

Brak w Polsce normalnego, wyrosłego w walce o rząd dusz w narodzie, mieszczaństwa polskiego uważał Brun słusznie za ciężką ułomność, za chorobę organiczną, która zaciążyła na rozwoju narodu naszego i państwa.

I zgodnie z najświatlejszymi umysłami postępu szlacheckiego epoki Odrodzenia, z Ostrorogiem, Orzechowskim, Fryczem-Modrzewskim i Górnickim — rachunek winy za tę ułomność w strukturze społecznej Polski wystawia zasłużenie szlachetczyźnie, całej klasie szlacheckiej.

Przekrzykuje się on jak gdyby pod tym względem poprzez trzy wieki z Łukaszem Górnickim, który ustami Włocha — w „Rozmowie o elekcji” (Kraków 1616 r.) oskarżał szlachtę za zbójecko-grabieżcze wyczyny jej wobec mieszczan:

„wolno w mieściech u kupca nabrać rzeczy, a nie zapłacić, gwałt uczynić, strzelać, dom najść, z domu wywlec, ubić, zranić, zabić, wszystko to za fraszkę jest. A stąd... wasze miasta, miasteczka niszczeją w zabiegach, w trwogach“. „...kupców u was barzo jest mało, a co są, to barzo nędzni“. „I wam tego bać się potrzeba, żeby tu zasię pustynie nie były“.

Górnicki — szlachcic-patriota, który potrafił wznieść się ponad horyzont swej klasy i epoki, szczerze biada nad tym, że szlachta zaślepiona kastowym egoizmem i krótkowzrocznością zabija i tępi mieszczaństwo, że „pustych domów pełno wszędzie, rzemieślników nie macie, aż z Niemiec a od nas z Włoch rzeczy te Wam przywożą”, które by z powodzeniem mogło wytwarzać polskie rękodzieło. Górnicki widzi nawet niebezpieczeństwo „przegranej raz albo drugi bitwy”, skoro nawet uzbrojenie od „koncyrzy” (dzid) i szabel po drzewca i siodła — „taniej z tych ziem (t. j. z Niemiec i Węgier) przychodzą, niż je tu przez niedostatek rzemieślników kupi?”

I oto wobec nieobecności w Polsce „żywiołu blisko spokrewnionego z gminem, czynnego gospodarczo, ambitnego politycznie, niosącego nowe wartości kulturalne” — słowem, wobec braku u nas pełnowartościowego na zachodnią modłę — mieszczaństwa „zadanie uformowania nowoczesnego narodu polskiego spadło na inteligencję szlachecką”.

Ta ostatnia „tylko przez asymilację z takim żywiołem (młodym, prężnym mieszczaństwem — przyp. mój. Z. O.) mogłaby wyrwać się z więzi swego szlacheckiego pochodzenia i uniknąć tragicznego zawieszenia w próżni”.

Jakiż był w rezultacie zasadniczy rys patriotyzmu polskiego w odróżnieniu od patriotyzmu narodów zachodnio-europejskich?

„...Patrioci polscy — odpowiada na to pytanie Brun — ginęli na barykadach paryskich w walce z francuskim legitymizmem i orleanizmem; towarzyszyli Garibaldiemu w bojach z włoskim partykularyzmem dynastycznym i papieskim. Lecz myśl, żeby w Polsce przyjść miało do orężnej rozprawy także z odłamem Polaków, nie chcących wyzbyć się przestarzałego przywileju — ta myśl wydawała się potworną i zbrodniczą...“

„Los szlachty polskiej, jako klasy społecznej, wcale nie był tak tragiczny. Nemezys dziejowa, która gdzieindziej zmiata bez litości klasy już nietwórcze, była dla niej bardzo łaskawa. Niedorzecznością byłoby winić szlachtę polską za to, czym była, lub za to, czym być nie zdołała. Z moralizatorskim stanowiskiem do historii trzeba raz skończyć... Nie było też winą szlachty, że nie złożyła swych przywilejów dobrowolnie na ołtarzu ojczyzny, bo takie rzeczy dzieją się tylko w fałszowanej historii dla młodzieży lub dorosłych dzieci“.

Ale też odmawia Brun dzisiejszym hreczkosiejom i właścicielom stajni wyścigowych prawa przystrajania się w glorię bojowników walk niepodległościowych, bo „oni — ogół szlachecki — byli właśnie tym martwym ciężarem, który wszystkie wysiłki powstańcze pociągał na dno klęski...” Od rozbiorów główną troską myśli patriotycznej było rozwiązanie „sprawy włościańskiej”, aby „wciągnąć chłopa do walki z zaborcą”. Hasło było politycznie słuszne, ale próby wprowadzenia go w życie — naiwne i utopijne: „odwoływano się stale do patriotyzmu szlachty”.

Kilkoma sztrychami — surowo i prawdziwie maluje Brun zdradziecką egoistyczną rolę szlachty w powstaniu listopadowym, której „główną troską, nawet w ostatniej chwili, jest nie obrona Woli przed armią Paskiewicza, lecz zamknięcie Klubu Patriotów i rozbrojenie niespokojnego ludu warszawskiego” i uroczyste pogrzebanie przez sejm „sprawy włościańskiej”. Stąd tragiczne — z punktu widzenia interesów wyzwolenia narodowego — rzucenie chłopów pod „opiekę” Mikołaja I, który ukazem 7 czerwca 1846 r. zabrania dalszych rugów chłopów polskich.

„Gdyby istniała wówczas w miastach — wraca do swej idei Brun — liczna i wyrobiona politycznie klasa antyszlachecka, mielibyśmy może w 1846 r. **rewolucję agrarną, która jednakże za jednym zamachem wyzwoliłaby olbrzymie siły do walki z najazdem.** Nastąpiłoby bowiem wówczas niechybnie zjawisko odwrotne do tego, co zaszło w Galicji: szlachta schroniłaby się pod skrzydła trzech państw zaborczych, które wszak były... monarchiami wybitnie szlacheckimi. Tym samym polska świadomość narodowa skonkretyzowałaby się na sposób zachodnio-europejski i dziś — przebolawszy od dawna rany i konwulsje przełomu — bylibyśmy zupełnie innym społeczeństwem“.

I wniosek jasny:

„**Chorobą organiczną Polski była wadliwa przemiana materii społecznej — przerost i później skostnienie szlacheckiej ekonomiki i szlacheckiej kultury**“.

I dlatego:

„**jedyną istotną pracą dla Polski było i jest zdzieranie z niej strzęp za strzępem martwego pokostu szlachecko-mieszczańskiego i torowanie drogi większej Polsce, idącej z nizin społecznych**“.

* * *

Pojmując tedy zagadnienie budowy „większej Polski” nie jako problem podbojów, nie po prusacku à la Bismarck i Hitler, ale jako rozszerzenie Polski w głąb — przez wydobycie nowych sił z nieaktywnych narodowo — dzięki polityce szlachty i kapitalistów — nizin społecznych, Brun i w tej dziedzinie był kontynuatorem najlepszych tradycji polskiej kultury, polskiej myśli społeczno-reformatorskiej.

Jest w tej jego postawie jakaś więź ideowa, jakaś rewokacja głęboka do pamiętnego przykazania danego narodowi przez Mickiewicza w „Księgach Pielgrzymstwa”: „O ile powiększycie dusze wasze... o tyle powiększycie granice wasze”.

I w tym planie jakże charakterystyczna i piękna jest patriotyczna pogadanka radiowa Bruna, wygłoszona z polskiej rozgłośni w Saratowie 29 marca 1942 r., na temat **„Lenin a miłość ojczyzny”.**

„Lenin widział więc największą **chlubę narodu** rosyjskiego nie w jego mocarstwowej potędze, **nie w podbojach i zaborach,** nie w panowaniu nad dziesiątkami narodów i ras, **ale w jego udziale w ruchach wolnościowych i demokratycznych,** w jego walce z caratem. Podboje dokonane przez Rosję były dziełem azjatyckiego despotyzmu carskiego. Odwrotną stroną rosyjskiej potęgi mocarstwowej był ucisk carski, który przytłaczał nie tylko narody ujarzmione, ale także rzekomo panujący naród rosyjski. Odwrotną stroną tej potęgi zewnętrznej było straszliwe zacofanie Rosji, krępowanie jej rozwoju gospodarczego i kulturalnego, sztuczne utrzymywanie pozostałości stosunków pańszczyźnianych w potwornym splocie z wyzyskiem rodzimych i obcych kapitalistów; odwrotną stroną tej potęgi była nędza i poniewierka robotników i olbrzymiej większości chłopstwa, masowy analfabetyzm, mroki zabobonów, zdziczenie moralne.

Miarą wielkości narodu w pojęciu Lenina jest miejsce, jakie zajmuje on w rzędzie przodujących narodów świata, jest udział danego narodu w **ogólnym dorobku kultury ludzkiej.**

Według tego sprawdzianu Rosja carska była narodem małym, pozostawała daleko w tyle za o wiele **mniejszymi liczebnie** narodami Europy. Lenin bolał nad tym, jako Rosjanin. Dumny zaś był z tego, że, pomimo więzów, hamujących jego polot twórczy, naród rosyjski wydał szereg genialnych myślicieli, uczonych, pisarzy i artystów oraz liczne zastępy nieustraszonych bojowników o szczytne ideały wolności i sprawiedliwości społecznej.

Dopóki ciążył nad Rosją ucisk carski, najważniejszą sprawą **narodową** była dla Rosji sprawa obalenia caratu“.

I wysuwając dziś i propagując hasło **Polski** nie tylko niepodległej, ale i **wielkiej** i silnej, jesteśmy w pojmowaniu **Wielkości Polski** w zgodzie z Brunem, a nie z takimi „Polakami” jak Dowbór-Muśnicki lub jak ideologowie sanacji — Hołówko czy Studnicki.

Pamiętamy, jak „wszechpolak” Dowbór-Muśnicki, b. żołdak Mikołaja ostatniego, proponował gen. von Hoffmannowi w roku 1918 — przyjęcie tronu polskiego przez Wilhelma ostatniego! — też w imię „Wielkiej Polski” zapewne.

Pamiętamy, jak jeden z późniejszych przywódców sanacji, Hołówko, witał w sierpniu r. 1915 wojska pierwszej okupacji niemieckiej, wojska Leopolda von Wittelsbacha i kata Belgii i Polski, von Beselera, jako wojska „naprawdę kulturalne i europejskie”. Pamiętamy, jak ten pomniejszyciel Polski wyrzekał się Poznańskiego, Pomorza, Śląska, ba! nawet Galicji Zachodniej — a wołał wraz ze Studnickim o kolonie na wschodzie: „lasy Białorusi i błota pińskie — oto teren, na którym wolny lud polski założy państwowość własną”.

Naszą silną i Wielką Polskę buduje wolny Naród Polski nie według recept tych pomniejszycieli, ale w zgodzie z istotą jej wielkości — w zgodzie z Mickiewiczem, Słowackim, Lelewelem, Padlewskim, Sierakowskim i Julianem Brunem. Przewodzi mu Rząd, który już na zawsze dał chłopu ziemię, robotnikowi rolę współgospodarza państwa, narodowi — ramię zbrojne, a krajowi zwycięstwo nad odwiecznym wrogiem — prusactwem, i miast nie naszych błot pińskich i lasów Białorusi — nasz Śląsk industrialny, nasze narodowe płuca, nasze pobrzeże Bałtyku, nasze życiodajne dla narodu — odwiecznie polskie Ziemie Zachodnie.

I w ostatnich słowach swej ostatniej już pracy drukowanej woła Julian Bronowicz, jakby kreśląc słowa testamentu:

„Nierozerwalne braterstwo broni łączy dziś żołnierza polskiego, o pełnych chwały tradycjach, z bohaterskim czerwonoarmistą. Żołnierze wolności zduszą bestię hitlerowską.

Polska znów wolna i niepodległa, Polska sprawiedliwa i demokratyczna zwiastować będzie uwolnienie ludzkości od zmory hitleryzmu i prusactwa.

Zwycięstwo będzie nasze!”

EUGENIA BRUN

WSPOMNIENIE

(W TRZECIĄ ROCZNICĘ ZGONU J. BRONOWICZA)

Straciłam go z oczu zaraz pierwszego dnia wojny — dla nas w Belgii wojna rozpoczęła się 10 maja 1940 r. O piątej z rana zbudziło nas bombardowanie Brukseli. Jedna z bomb upadła tuż obok, na dworzec Luksemburski, około którego mieszkaliśmy. Całe przedpołudnie — gorączkowe słuchanie radia, telefony do znajomych. W południe — wiadomość podana przez radio o obowiązkowej rejestracji cudzoziemców.

Poszedł jak stał, wziął tylko powieść: „Przyda się w kolejce w biurze rejestracyjnym". Wieczorem odszukałam go na posterunku policji. Stał w pokoju, w tłumie rozgorączkowanych i rozgadanych internowanych, i spokojnie czytał swą powieść. Prosił o gazety i maszynkę do golenia. „Wszystko będzie dobrze". Potem już go w Brukseli odnaleźć nie mogłam. Szukałam go w Belgii, potem we Francji.

Po czterech miesiącach odnalazłam go w St. Cyprien, na południu Francji, w obozie koncentracyjnym. W pierwszej pocztówce pisał: „Jest mi dobrze, nie troszcz się, nie przyjeżdżaj, już się jakoś sam wykaraskam, to długo trwać nie może". I — pilne sprawy do załatwienia — polecenia od współwięźniów.

Mieszkałam wtedy w małej wioszczynie górskiej w departamencie Ardèche. We wrześniu obudzono mię w nocy (byłam tak zwaną delegatką uciekinierów). Przyjechał ktoś, kto uciekł z St. Cyprien, trzeba go urządzić. Opowiedział: głód, tyfus, w wodzie przywożonej cysternami komisja znalazła zarazki tyfusu. Śmiertelność — 60—70%. Właśnie mu brat umarł, więc postanowił uciec.

Następnego dnia, z przepustką do Tuluzy w kieszeni, ruszyłam na południe. Z wielkim trudem udało mi się uzyskać widzenie. Nie poznałam go z daleka. Dopiero, kiedy zbliżył się na odległość dwóch kroków, poznałam go... Dzisiaj, kiedy wiemy, co to był Majdanek, Oświęcim czy Oranienburg, kiedy widzieliśmy fotografie ludzi-szkieletów, dzisiaj może to nie byłoby tak straszne.

Widzenie odbywało się na tzw. placu widzeń. Krążyły po nim ludzkie szkielety. A między nimi on — Julek. W krótkich spodenkach, z tak straszliwie wystającymi kośćmi, że promienie słoneczne przeświecały nieomal przez nie. I mimo to — z tak pełnym słońca i radości uśmiechem, tym jego, julkowym uśmiechem, tak czarującym i promienistym. Zebrałam wszystkie swe siły, żeby nie zdradzić wrażenia, jakie na mnie wywarł jego widok. A on sypać zaczął dowcipami, opisywał to ich życie nagusów, opowiadał o swoich współtowarzyszach niewoli, o swoich osiągnięciach krawiecko-szewsko-kulinarnych, o zorganizowanym przez się cyklu wykładów z historii rewolucji francuskiej i z dziejów Polski. — Potem dopiero zrozumiałam: z jemu tylko właściwym taktem postarał się o to, by dać mi czas otrząsnąć się z pierwszego wrażenia. Więc, kiedy się z jego widokiem oswoiłam, powstrzymałam potok tego wielomówstwa i zaproponowałam piknik. Rozłożyłam przywiezione produkty.

Nic o swojej „podróży" nie mówił, owszem, że zrobił „tour de France", jak w 36 roku na wycieczce ze mną, prawie tą samą trasą — Orlean—Bordeaux—Tuluza—Morze Śródziemne. Ale dał mi rękopis: notatki z tej „podróży".

Czytałam to później noc całą. To był epos „podróży w śmierć". Straszliwe katusze głodu, pragnienia, zwłaszcza pragnienia, kiedy się lizało ściany wilgotne od moczu, i znęcania się nad godnością człowieka. Środowisko, w którym się znalazł, to nie byli ludzie związani ideowo, toteż, zwłaszcza w podróży, kiedy nikt nie wiedział, dokąd jadą, na życie czy na śmierć — wyszły na jaw najniższe instynkty ludzkie. Zwierzęca walka o centymetr przestrzeni, o trochę powietrza, strawy czy płynu. W hermetycznie zamkniętych wagonach bydlęcych ludzie wariowali, dusili się, umierali. Z ciężkiego, długotrwałego i śmiertelnego omdlenia uratował Julka ktoś, kto mu do ust wsunął kostkę czekolady. Jak się potem okazało, był to jakiś socjalista belgijski.

Potem były obozy przejściowe, aż wreszcie w St. Cyprien obóz po-hiszpański, na piaszczystych wydmach zbudowane baraki, otoczone potrójnym drutem kolczastym. 30 tysięcy ludzi. Administracja francuska pod ścisłą kontrolą i dyrektywami Niemców. Pokarm: brzoskwinie i wino, rzadko chleb. Stąd epidemie.

Po tygodniu byłam znowu w St. Cyprien, tym razem po to, by zorganizować ucieczkę. Udało się. W ostatniej chwili, tuż przed odejściem pociągu, w Perpignan zatrzymali go żandarmi. Byli to specjaliści od łapania uciekinierów z obozu. A Julka zdradzała ziemista cera i wiszące na nim ubranie... Zachował się jak lord angielski i tak z wielkopańska ich odstawił, że się zawahali. Więc najspokojniej w świecie wyjął im z ręki swój (fałszywy) paszport i z uwagą, że pociąg jego już odchodzi, spokojnie oddalił się. To była dla mnie chwila najgorsza — gorsza, niż zagadywanie żandarmów podczas samej ucieczki.

Ze względu na jego bezpieczeństwo rozstaliśmy się znowu. Wróciłam do mojej wioszczyny, on zaś osiadł w Martisay, małym miasteczku na północ od Tuluzy. Nie oparli się jego urokowi miejscowi dygnitarze: mer, ksiądz, doktór, nauczyciel. I od razu zabrał się do roboty: znalazł gdzieś na strychu historię Jaurèsa. Pisał stamtąd listy, pełne planów przyszłych prac i dociekań na temat nie ukończonej swojej pracy o sprawie narodowej w rewolucji i kontrrewolucji.

Czekaliśmy wówczas na wizę do ZSRR. Na początku 41 roku Julek wyjechał do Grénoble. W Grénoble zabrał się do poważnej pracy w tamtejszej bibliotece uniwersyteckiej. Ja w owym czasie przewędrowałam już z mojej wioski do Lourdes, a potem do Vichy. Odwiedziłam go w Grénoble. Stołował się w „Pension des Filles Chrétiennes". Był to pensjonat, założony przez protestantów dla starych panien. Mieszkało w nim wówczas parę studentek Polek, które zwabiły tam tanie, na poły filantropijne ceny. Julek z punktu zyskał sobie sympatię nie tylko młodych studentek polskich, romanistek, z którymi toczył nieskończone dysputy polityczne, historyczne, a nawet lingwistyczne, ale oczarował również owe stare wysuszone pannice, które podejrzewały w nim wprawdzie strasznego socjalistę i „nihilistę", a jednak nie oparły się jego urokowi. Żeby zarobić parę groszy, pożyczył sobie maszynę do pisania od pewnego proboszcza i przepisywał pracę doktorską jakiejś studentki o Petrarce. Strasznie był z tego dumny, że znowu zarabia na chleb. I chwalił się tym w listach. Ale raz zdarzyło się nieszczęście. Otóż Julek całe życie odznaczał się roztargnieniem iście profesorskim. Już w pociągu z Perpignan zamienił swoją dopiero co kupioną baskijkę na starą szmatę. Teraz, ze wstępem w stylu „już nigdy to się nie powtórzy", napisał mi, że... zamienił w bibliotece swoje porządne, prawie nowe palto, które pod bombami wywiozłam aż z Brukseli, na — stare, podarte, brudne, ale — o dziwo — z marką tegoż sklepu Coin de Rue, w którym i jego było kupione.

W niedzielę 22 czerwca Niemcy napadły na ZSRR. W środę, bez przepustki, nielegalnie Julek przyjechał do Vichy. Tegoż dnia zaczął pracować: słuchał wiadomości radiowych i robił z nich komunikaty dla prasy. Nie zapomnę słów jego — w sobotę wieczór na spacerze:

„Jaki ja jestem szczęśliwy! Człowiek żył na marginesie, już myślałem, że cała ta lawina wojenna przewali się, a ja będę siedział gdzieś na uboczu i dłubał moją rewolucję francuską i historię Polski. A teraz — mogę choć jakąś cegiełkę dołożyć do zwycięstwa, które — pamiętaj! — nastąpi, i to nie byle jakie!

Julek był człowiekiem głęboko związanym z życiem, z prawdziwym, tętniącym życiem. Kochał się w historii, pasjonował dla rewolucji francuskiej, ale tylko o tyle, o ile dawało mu to materiał do walki o demokrację, do oceny aktualnych zagadnień i aktualnych wypadków. Miał talent pisarski, ale przede wszystkim talent publicystyczny. Był publicystą w każdym calu. Cokolwiek czytał — gazety, książki, pamiętniki, dokumenty historyczne, archiwalne — zawsze przychodził z bibliotek do domu rozgorączkowany i snuł analogie historyczne, obmyślał chwyty polemiczne, wykopywał „rodzynki" — „przydadzą się do utłuczenia któregoś z tych drani".

Z całej duszy, po prostu osobiście nienawidził faszystów, nie znosił tępogłowych reakcjonistów. A jednocześnie nieraz zachwycał się jakimś mądrym, bo mądrze szkodliwym, artykułem choćby takiego Mackiewicza. I marzył, jak praktycznie wyglądać będzie przystanek przed stacją końcową „Polska demokratyczna": kiedyś o piątej po południu na stacji pogranicznej spotkają się dwa pociągi i wyjdę na piwko z jednego jadącego do Polski — ja, a z drugiego — z Polski na emigrację — p. Cat-Mackiewicz. Ślicznie sobie pomachamy rączką: Au revoir à jamais.

Całym sercem kochał demokrację, tę wszechobejmującą, wszechczłowieczą, tę głęboko szanującą godność człowieka — obywatela świata, tę, którą zrodziła wielka rewolucja francuska i którą w ciężkich zmaganiach realizuje wielka rewolucja rosyjska.

Polskę kochał tak, jak się kocha kogoś najbliższego — namacalnie, bezpośrednio. W najcięższych chwilach życia ukojenie znajdował w polskiej poezji, której arcydzieła recytował z pamięci całymi stronicami. Marzył o Polsce demokratycznej, o Polsce wolnej, o Polsce wolnych Polaków. Służył jej od lat najmłodszych i aż do dni ostatnich.

I dlatego w wojnie obecnej, w wojnie dwóch światów — siebie, Polaka, demokratę, widział tylko i jedynie w służbie świata postępu i demokracji.

Toteż w dniu, kiedy się okazało, że jedziemy do ZSRR, gdzie można będzie pracować i służyć Sprawie Polskiej — lekko się czuł i szczęśliwie i co chwila powtarzał: „Jedziemy, co? Jedziemy!"

W drodze ogrywał wszystkich w szachy, robił przeglądy prasowe. Szczególnie pobratał się z kolejarzami bułgarskimi, tak że mu nawet przynieśli nielegalną gazetkę. Było to w Svilengradzie, gdzieśmy stali cały tydzień. Akurat zaczęło się w tym czasie bombardowanie mostu i gestapowcy, którzy nas konwojowali, urządzili dziką pijatykę i wykrzykiwali, że nie ma po co jechać, bo cała Rosja wraz z Moskwą zajęta jest przez hitlerowców itp. A bułgarscy kolejarze — „bratuszki", jak ich nazywaliśmy, po kryjomu dali Julkowi hektografowaną gazetkę i pocieszali: „Nic im nie wierzcie".

Miał wtedy 55 lat, ale wszystkie trudy podróży, jak zresztą i potem, podczas ewakuacji z Moskwy, znosił bodaj lepiej od młodych. Zawsze rześki i wesoły, zawsze pierwszy do noszenia ciężarów, do pomocy kobietom. Ale bo też zawsze spod ziemi wynajdywał jakiś dzbanek wody, który sobie po prostu wylewał na głowę, i nigdy nie zapominał o porannej 10-minutowej gimnastyce. Robił to, jak opowiadał, również w obozie, chociaż sobie z niego podrwiwano.

Do Moskwy przyjechaliśmy 11 sierpnia.

EDMUND OSMAŃCZYK

NA POBOJOWISKU

I

Śląsk Opolski wraca do Rzeczypospolitej. Biało-czerwone chorągwie, orły piastowskie witają przedstawicieli Rzeczypospolitej. Jesteśmy na ziemi ojców.

Może przyszłe pokolenia znajdą wyrazy oddające wielkość przeżywanej przez nas chwili. Dla nas otępiałych w gigantycznej wojnie ta prostota samego faktu historycznego, dokonania się dziejowej sprawiedliwości, jest onieśmielająca. Serce nie tłucze się w piersi, nie dławi gardła, ale zwyczajnie przystaje na sekundę, aby znów bić nerwowo troskami dni powszednich. Więc nie mogąc chwili powrotu rozdzwonić, rozburzyć, rozwichrzyć, uciekamy do spraw dotykalnych, uchwytnych, widocznych.

Widzimy miasta w większości zniszczone działaniami wojennymi, w granicach od 20 do 80%. Wsie popalone i zburzone w stopniu daleko mniejszym. Cyfra ogólna 30% może być za wysoka. Ludność w miastach niejednolicie utrzymała swój stan. W Bytomiu ze 100.000 mieszkańców pozostało 55.000. W Gliwicach ze 130.000 około 80.000. W Opolu z 52.000 — nikogo! W Kluczborku z 12.000 — 70 osób. W Oleśnie z 7.000 — 800 osób. W Gorzowie z 3.000 — 1.000. W Raciborzu jak w Opolu — nikogo!

Życie gospodarcze miast zamarło zupełnie. Między szkieletami wypalonych domów wyróżniają się domy całe, wyróżniają się zabite deskami sklepy, w których nic nie ma. Totalna gospodarka opróżniła je już przed rokiem. Ze zwieszonych nad wypalonymi i pustymi sklepami szyldów, o barwach czarno-białych lub czarno-czerwonych, spoglądają na nas melancholijnie gotykiem pisane nazwiska: Kosmalla, Bogatz, Jendretzki, Komar, Przewloka, Wiescholleks-Erben... Statystyk powiatowy oblicza, że na szyldach co czwarte nazwisko jest niemieckie, to znaczy Mueller, Schmidt czy Mayer.

Na zachód od Odry, położone pięknie, kwitnie w zieleni miasto biskupie Nisa (na Śląsku są dwie rzeki Nisy — Kładzka i Łużycka — oraz jedno miasto Nisa). W mieście tym jest wielka elektrownia, której prąd oświetla całą Opolszczyznę, wsie i miasta. Obecnie Nisa, Opole, Olesno, Kluczbork, Strzelce toną w ciemnościach. Dalsza konsekwencja — brak wody i gazu.

Po wsiach nie ma koni, bydła i trzody. Niemcy uprowadzili większość za Odrę. Pola obsiane w połowie. Wiosenne prace rolne wykonują przeważnie kobiety i dzieci. Nie jest to obraz nowy. Po powstaniachślą-

skich, pamiętam, było to samo. Kobiety orały i siały. Gospodarstwo musiało być utrzymane.

Tyle zaciętości w kobietach spotkać nie łatwo. Jesteśmy w kraju, który ma najrodniejsze i najpracowitsze niewiasty. Wszystkie mówią po polsku i modlą się po polsku. Im zawdzięczamy, że Śląsk po dziś dzień zachował polski charakter.

Na 130.000 gospodarstw Opolszczyzna posiada 88.000 gospodarstw karłowatych i małorolnych. Nie trzeba dodawać, że właścicielami są Polacy. Niemiec nie ma miłości do ziemi, nie potrafi trzymać się pazurami kilku „juterek", jak na Śląsku zwą morgi. Rzeczpospolita uwłaszczy chłopstwo opolskie, lecz przedtem starostowie przeprowadzą narodowościowy kataster, oddzielając ludzi polskiej krwi od przybyszów z Prus, Bawarii i Westfalii, których usunie się bezpowrotnie.

II

W Opolu, mieście drzew i ogródków, kwitną wśród zgliszcz krokusy. W kalendarzu sprawdzamy datę: 21 marca. Zgadza się. Wiosna.

Przez pontonowy most na Odrze idą kolumny niemieckich jeńców. Z Wrocławia, z Nisy, Grotkowa, Niemodlina. Patrzą zdumieni na sztandar polski powiewający z ratusza i zamkowej wieży.

— Ihr seid in Polen! — tłumaczymy uprzejmie.

— Aber das ist doch Oppeln? — pada głos z szeregów.

— Nein, das ist Opole.

Nie rozumieją. Pruscy żołnierze, którzy przeszli dwukrotnie przestrzeń Odra—Wołga i nie widzieli Polski, której miało już przecież nigdy nie być, zwieszają pochmurnie głowy. Kłamstwo pruskiego „Lebensraumu" budzi w nich uczucie krzywdy. Trzeba będzie stosować ostre metody wychowawcze wobec Niemców, aby pojęli wreszcie, że to, co jest sprawiedliwe, może być dla nich „niedobre", że między sprawiedliwością ludzką a „dobrem niemieckiej nacji" jest przepaść.

Opodal pontonowego mostu na wyspie w rozwidleniu Odry stoi szczęt piastowskiego zamku, wieża, z rozczapierzonym ogromnym krukiem na szczycie. Zamek zburzono w 1930 roku. Zburzono nawet fundamenty, aby już ślad nie pozostał polskiego budownictwa. Ziemia opolska jest jednak nieustępliwa. Pod fundamentami zamku odkryto „biskupińskie" osiedle. Propaganda Ostbundowych nieuków uderzyła w wielki dzwon: germańskie osiedle prehistoryczne pod piastowskim zamkiem. Zjechali się uczeni z Berlina, Pragi, Poznania i Sztokholmu. Nie było wątpliwości — osiedle ma wszystkie cechy słowiańskie. Roboty wykopaliskowe wstrzymano, propaganda umilkła.

Decyzją prezydenta rejencji zrównano ziemię i wybudowano na miejscu piastowskiego zamku, wzniesionego na słowiańskim osiedlu, nowoczesny, koszarowy gmach administracji pruskiej ziem opolskich.

Z biurka prezydenta rejencji wyjmuję papier listowy. Przekreślam tytuł „Der Regierungspraesident Oppeln den... 194...", piszę „Opole w marcu 45" i rozpoczynam artykuł do „Odrodzenia". Jest w tym dużo dziecinnej satysfakcji. Dosłownie dziecinnej. Pamiętam w 1923 roku szedłem z matką przez Opole (miałem wówczas lat 10) i zadawałem matce tysiące pytań po polsku. Idące za nami brzuchate niemczysko ryknęło nagle: „Hier wird deutsch gesprochen!" A ja właśnie gapiłem się na wieżę zamkową, na której wówczas trwał jeszcze piastowski orzeł. Struchlałem, gdy mi wieżę przesłonił pruski kloc. Matka nerwowo schwyciła mnie za rękę. Skręciliśmy w boczną ulicę.

Teraz w Opolu nie spotykam Niemców. Nawet tu w niedostępnej dla Polaka rejencji, jedynym śladem gburowatego „Hier wird deutsch gesprochen" jest cudowny napis przy wejściu:

„Du bist in einem deutschen Haus!
HEIL HITLER gruess!
Sonst fliegst du raus!"

Widocznie wszyscy Niemcy w Opolu przestali pozdrawiać się „Heil Hitler", bo wylecieli i nie ma ani jednego.

III

W kościele na Górce (przypomina Sacré Coeur na Montmartre) ostatni spis poległych parafian, przybity do drzwi zakrystii: Obracaj, Gousko, Olschenka, Rusitzka, Cebulla, Dziwissek, Gogolok, Barteczko, Gruschka, Kulik, Chluba, Kowohl i Krajan.

Przed kościołem, na kamienicy muzeum, polskie plakaty z granicami Odry i Nisy oraz napisy:

„Nie będą Matki Polki rodziły więcej żołnierzy germańskich".

„Śląsk Opolski był, jest i będzie polskim".

W muzeum orły piastowskie i polskie chorągwie. Pruska omyłka. W trumnie muzeum nie wolno zamykać godeł żywego narodu. Wpierw trzeba zabić naród, potem można mumifikować ślady.

Zachował się nieuszkodzony ratusz, wybudowany na początku XV wieku. W muzeum jest kamień szczytowy ratusza z 1411 roku z orłem piastowskim, usunięty w czasie przebudowy w r. 1936. Hitlerowski orzeł z piaskowca rozpadł się od rewolwerowych kul.

Przed kościółkiem św. Sebastiana, gdzie jeszcze w sierpniu 1939 roku odbywały się polskie nabożeństwa, stoi Bożamęka z odłupanym napisem polskim: „Od ognia, głodu i wojny zachowaj nas, Panie".

Nie zachował. Mamy pobojowisko.

IV

W Kluczborku mieście i powiecie była większość Polaków wyznania ewangelickiego. Podobnie jak na Mazurach nastąpiło tu rozszczepienie z narodem polskim, na skutek mądrego jadu germanizatorów, że Polska to katolicki naród, w którym nie ma miejsca dla protestantów. Hasła „polsko-katolickie" na Śląsku odepchnęły Polactwo kluczborskie, sycowskie, namysłowskie, tak jak Warmia i Poznańskie myślą parafialną, nie państwową, pogrążyły w prusacyzm Mazury.

W zborze kluczborskim, wzniesionym, jak napis głosi, w 1745 roku przez Daniela Mietlę, jest tablica ze spisem pastorów miejscowych od r. 1707 do 1907. Oto nazwiska: Tyrnka, Schlossarek, Russke, Chmura, Czuda, Piechatschek, Jurczek, Neumann, Halama, Nowak, Swientek, Cichon, Kokott, Wościech, Ulitzka, Stener, Pixa, Moschek.

Na ławkach w zborze tabliczki, oznaczające nazwiskami opłacone miejsca w r. 1945. Wśród nazwisk niemieckich znajdujemy i takie:

Kantor, von Borkowski, Opolka, Bragulla, Fabianek, Michalik, Koschinski, Wolnik...

W mieście nie ma ludzi. To samo po wsiach. Z 57.000 mieszkańców powiatu i miasta pozostało trzy tysiące. Reszta odeszła za Odrę wraz z cofającą się armią niemiecką. Ile było przymusu (że był, stwierdziliśmy na pewno), a ile obawy, określić trudno. Faktem jest, że katolicka ludność polska powiatu opolskiego czy oleskiego ukryła się przed ewakuacją i w większości pozostała, natomiast polskiej ludności ewangelickiej w kluczborskim oglądamy garstkę.

W latach przedwojennych Polacy Nadodrza i Prus Wschodnich świadomie usunęli z mowy potocznej i pism pojęcia Polak-katolik i Polak-ewangelik. Przyjęte na Kongresie Polaków w Niemczech 6 marca 1938 roku „Prawdy Polaków" rozcinały raz na zawsze problemy polskich sumień.

V

W Gorzowie, małym miasteczku w powiecie oleskim, spotykam przy kościele starowinkę, pamiętającą moich rodziców i mnie pędraka, któremu gorzowskie barokowe kamieniczki wydawały się olbrzymimi zamkami. Dopytuję się o znajomych. Nie ma. Umarli. Zginęli. Wyjechali.

Śladów polskości, poza nazwiskami, nie ma tu już żadnych, oczywiście nie licząc mowy polskiej pozostałych w Gorzowie mieszkańców. Z 3.000 pozostał tysiąc, trzecia część.

— Trzecina się aby ostała, synku, ale dobre Polactwo, rządzą wszytcy po naszemu — opowiada mi starowinka. („Rządzić" znaczy mówić).

W kościele usunięto polskie napisy. Szukamy więc polskich chorągwi. Są. Na jednej napis: **„Hl. Franziskus bitte fuer uns!".** Ten napis jest naszyty na oddzielnym skrawku jedwabiu. Odpruwamy go i oto mamy spłowiały napis: „Św. Franciszku, módl się za nami!"

Jedna z chorągwi z Matką Boską ma materię starą bardzo, zetlałą już i jakby poplamioną. Napisu nie ma. Z boku tylko wyhaftowana data 1733. Zdumieni oglądamy chorągiew pod słońce i — odczytujemy wyprute litery.

„Bractwo różańcowe założone w Gorzowie w r. 1733 od ks. Proboszcza Dubiela. — Święta Królowo Różańcowa, módl się za nami".

Litery wypruto „łońskiego roku, jak gestapo robiło rewizję w kościele".

W zakrystii „Modlitwy po Mszy św." w języku polskim i niemieckim. Wśród ewangelii i mszałów dwie polskie książki:

„Katolicki katechizm dla diecezji wrocławskiej". Wrocław 1871 druk Nischkowskiego. Oraz:

„Lekcje i ewangelie" ks. Tomanka. Cieszyn 1930 r.

Proboszcza nie ma. Zabrali go hitlerowcy, pobiwszy wprzód za chęć pozostania na miejscu.

VI

Na cmentarzu Olesna są groby powstańców. W sercach oleskich ludzi jest pamięć powstania. Łzy, które płynęły w Oleśnie, były łzami żołnierzy, którzy dotrwali do zwycięstwa.

W Kluczborku, opustoszałym mieście, w jednym z domów przy trakcie wrocławskim, w wyrabowanej całkowicie izbie, na obdartej z obicia kanapce leży młoda kobieta o siwych włosach i promiennym uśmiechu. Drewniane buty, czarna sukienczyna i pasiasta kurtka na zgrzebnej koszuli. To wszystko. Żadnych dokumentów, żadnego tobołka. Na kurtce w dziwaczne pasy zielony trójkącik. „Dobry człowiek. Więzień polityczny". Szła widać z jakiegoś koncentracyjnego obozu do swoich, do Polski. W opustoszałym mieście, czekającym na przybycie polskiego starosty, weszła do przydrożnego domu, by odpocząć. Serce przystanęło i nie poruszyło się więcej.

Żołnierz nieznany?

Zarządzeniem władz polskich znajdzie grób obok śląskich powstańców. Zmarła na polskiej ziemi, która już wielu przygarnęła ukrzywdzonych do śmierci.

VII

Ludzie, którzy tam idą pracować, nie zastają kraju, który się „obejmuje i rządzi", lecz kraj, który trzeba ożywić pracą, usunąć zgliszcza i gruzy, oczyścić budowle, a ziemię zaorać i obsiać. Kraj jest bogaty, tylko trzeba bogactwo wydobyć własną pracą. Za kilka lat będzie to jedna z najbogatszych dzielnic **środkowej** Polski. Tak, środkowej, bo z Opola do granicy z Niemcami, do Łużyckiej Nisy, jest **dwieście** kilometrów.

Chodzę po Opolszczyźnie, przejeżdżam opustoszałe ziemie wrocławskie i myślę o przeludnionym Krakowie, o kretowiskach bohaterskiej Warszawy, o zduszonej w chłopskich izdebkach wsi polskiej. Po cóż ci ludzie się gnieżdżą, po cóż zużywają tyle sił na zdobycie suchotniczej klatki, kiedy tu na zachodzie jest ziemi i pracy i mieszkań dla wszystkich.

Oddycham zielenią, wiosennym krajobrazem. Jakżeż tu pięknie nad Odrą.

Cóż, że dziś pobojowisko. Ale nasze. Możemy tu cuda zrobić. Każdy, kto ma myśli jasne i silne ręce, wyrośnie tu na swoją miarę.

A znasz, bracie, swoją miarę? Myślę, że nie. Bo miarę ludzką poznaje się tylko tam, gdzie jest pracy bez miary.

Takim krajem jest polska ziemia nad Odrą i Nisą.



Żołnierz polski ślubuje wierność morzu



Gmach Komisariatu Rządu w Gdyni spalony przez Niemców



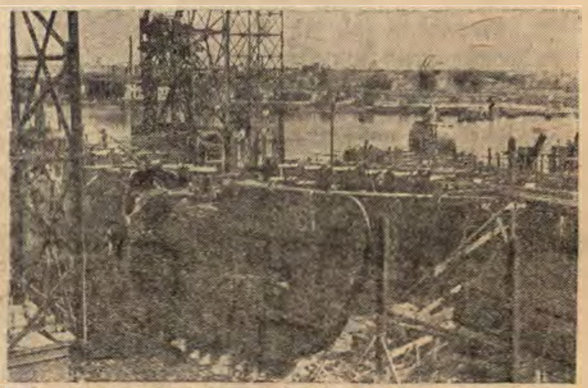
Pierwsza straż polska w porcie gdańskim

ZAŚLUBINY MORZA

...Młody żołnierz polski ruszył teraz śmiało spod zdobytego Tczewa na tajemniczy ów Gdańsk, ku niewidzianemu jeszcze morzu. W początkach marca, w wietrzny dzień, idąc od Miłobądza gdańskim gościńcem, młoda armia ujrzała wielkie dymy i migające wśród nich czerwone i złote płomienie. To Prusacy podpalili gdańskie przedmieścia, zamykając się przed oblężeniem w fortecy. Płaskie niziny słały się wokół, zwłaszcza na wschodzie, za wielkim szlakiem Wisły. Oficerowie pokazywali żołnierzom widny z oddali czerwony zamek w Malborgu. Z zachodniej strony zaznaczały się wzgórza i lasy. Drzewny we mgle szlak wierzb i brzóz znaczył drogę bitą i krzyżownice boczne, zdążające w tamtą północną stronę, gdzie słały się po ziemi bure i śniade dymy. Serce żołnierza napełniało męstwo młodociane, kawalerska beztroska i wyższa ponad wszystko ciekawość. Lecz, — o, gościńcu gdański, strzelista i równa drogo! — ty wiesz, ile na tobie twardych legło kamieni i jak ściska serce twój widok! Podspodni lęk wił się nad tobą chyłkiem, niewidokiem, wiekuisty szatan dusz, nie mający kształtu, nie posiadający figury swej, podobny do kłębów dymu. Tajne czucia migały w nim, jak ogień, nie wiedzieć, co pożerający. Dymy rozpościerały się, lub składały, niby skrzydła olbrzymie, już to zapraszając obłudnie, pociągając zdradziecko, już zamykając widok na zawsze w ciemnicy śmierci wiecznej. Młoda brawura szła wprost w dymy, nie bacząc na lęk wewnętrzny, lekceważąc sobie diabła samego. Wszystko jedno, co było na drodze, byleby u jej końca czekało zwycięstwo!



Port gdański



Niemieckie łodzie podwodne w Gdańsku



Żołnierz polski w walce o Kołobrzeg

W drugiej połowie maja ze szczytu wyniosłej ponad Wrzeszczem góry, rozmiękłą po deszczach, gliniastą drogą schodził o lasce ranny w nogę podczas zdobywania Tczewa generał Jan Henryk Dabrowski.

Generał poprosił oficerów, żeby go tutaj zostawili samego, gdyż życzy sobie w milczeniu rozpatrzeć pozycje. Gdy odeszli, zasiadł na pniaku obok drogi, ręce skrzyżował na kiju. Wodził oczyma po tym świecie rozległym. Miał przed sobą miasto, Leniwkę, Motławę, wyspę Holm, równiny Brzeźna ku Gielatkowu — a w oddali morze. Szare smugi, jaśniejące w ciemnej ramie ziemi. Uśmiech szczęśliwy zajaśniał na wargach.

— Przyszedłem, — poszepnął do siebie, kiwając sennie głową. — Przyszedłem na miejsce aż do morza. Z dala, z dala. Zza siedmiu gór, zza siedmiu rzek. Nie małom pogubił braci. Poginęli mi najmężniejsi w długich drogach, w zażartym boju. Słuchajcież wy, co śpicie w ziemi włoskiej, w ziemi francuskiej, w Szwajcarach, w niemieckiej ziemi: pognębiony jest Krzyżak i pognębiony jest Fryderyk! Szatan na wieki powalony jest o ziemię! Ludy obce musiały przyjść tutaj, nad Wisłę, tylekroć od wrogów naszego plemienia jarzmioną. Musiały w bród ją przekroczyć i tam na ziemiach straszliwej zbrodni krzyżackiej za dzieło sprawiedliwości krew wylewać. Oglądam dokonane dzieło, którem w duszy wypiastował! O, Boże!

(St. Żeromski, „Wiatr od morza“).



Niemcy uprzątają gruzy w Gdańsku



Prezydent Bierut w rozmowie z prezydentem Gdańska ob. Kotus-Jankowskim



Przed domem Artusa w Gdańsku



Prezydent Bierut i premier Osóbka-Morawski w otoczeniu polskiej ludności Gdańska



Płonący Gdańsk



Młodzież staje do szeregów Wojska Polskiego



Na punkcie werbunkowym



Przed odmarszem



Przemarsz przez ulice Łodzi

JULIAN TUWIM

Do „skazanych na wielkość”

(Fragment z poematu „Kwiaty Polskie”)

...Czasem z codziennej mitologii
Nagłych, z zaułka, zjawień, olśnień,
To z barwy, z linii, to z melodii,
Chwila — Ojczyzną ci wyrośnie.
Zjawi się taka niewątpliwa,
Wyłączna, nie do podrobienia,
Że poznasz z echa, zwęszysz z cienia:
To ona — twoja, własna, żywa.

A to silniejsze, niż potęga
Batorych, Chrobrych, Jagiellonów,
Niż pompatyczna dziejów księga,
Niż namaszczona rozbajęda
Bombastów, bardów, fanfaronów.
O, te histriony historyczne,
O, ci histerycy historii,
Rymarze „glorii” i „victorii”,
Gęsi skrzeczące na zapłotkach
O swych kapitolijskich przodkach!
O, historiozoficzne Własty,
„Patosem dziejów” rozegżone,
Skrzydlate szkapy, zaprzężone
W dziejowy rydwan drabiniasty!
Dalej będzieciež Polskę włóczyć
Po „szlakach”, „misjach”, „przeznaczeniach”?
Znowu się będzie byle szczeniak,
Fuks gazeciarski i codzienniak
Tłustością dawnej chwały tuczyć?
A szlak niech raz te szlaki trafi!
Zamiast historii rozbuchanej,
Może by trochę, dla odmiany,
Botaniki lub geografii? [1]
A kysz bajczarzu bałamutny,
Plotący szumne historyzmy!
Nie okryć matejkowskim płótnem
Nędzy, nagości, ran ojczyzny.
Na wielkość będziesz ją skazywał,
Na przeznaczenia, orły, szczerbce,
A lud ci będzie pokazywał
Łatane portki, zdarte kierpce?
Będziesz swym piórkiem naród wodził
Na historyczne dęte szlaki,
A on o głodzie i o chłodzie
Po kurnych chatach będzie smrodził
I pasem ściskał puste flaki,
Albo pogubi je wyprute,
Na krwawych drogach ku „wielkości”...
Legną kurhany białych kości
Na polach... To jedyny skutek
Arcydziejowej wspaniałości.
Historia! „Historyczne prawa”!
Patrz — „die Geschichte” jest u celu,
Patrz — leży stara dziwka krwawa
W spalonym własnym swym burdelu,
Ofiara własnych swych nakazów,
Przeznaczeń, szlaków, drogowskazów,
Które wbił w rdzeń germańskich mózgów
Jej pierwszy alfons oraz uczeń:
W prościutkiej linii miłe wnuczę
Herulów, Volsków i Herusków.
Patrz — drugi: rzymski kipiszczyna,
Birbone, furbo, truffatore,
Il grande storico gridore,
Antycznych małpujący Rzymian.
Pokazał jeden jak i drugi
Wielkodziejowe swe zasługi
I — trzeba przyznać — zdał egzamin:
Pokazał Orbi, dowiódł Urbi,
Do czego dziwkę swą (......)
Historycznymi przesłankami.
Nie chcemy historycznych czeków,
Płatnych na Marsie za sto wieków.
Drobne, lecz — na stół! Dzień zwyczajny,
Dzisiejszy dzień strapionym dajmy:
Banknot radości — nie numizmat —
I bilon szczęścia — nie brakteat —
A piękny historyczny teatr
W muzeum może mieć ojczyzna.
O, spekulanci! O, rzeźnicy,
Którzy na ladzie swojej jatki
Padlinę macie dla ulicy,
Kości pradziadów i odpadki,
A Dzień Dzisiejszy — tłusty, świeży —
Pod ladą wielkim połciem leży:
To — dla was. To wynagrodzenie
Za patriotyzm i natchnienie.
O, telewizjonerzy świetni,
Zapowiadacze szczęśliwości,
Propagujący „wyścig”, „pościg”,
Wszystko dla Jutra, dla Przyszłości,
A dzisiaj — bankiet dla proroka:
Za bystrość przezierczego oka,
Za śmiałość przenikliwych wejrzeń,
Za wiarę, ufność i za „hejże”...
A innym — generalny pościk.

Moi mocarni i dziejowi
Nieraz wzdychali, zazdrościli:
„Gdybyż to nam... w dziejowej chwili...
Gdyby naszemu narodowi
Takiego wodza i geniusza...
Wróg? Niemiec? Owszem, proszę pana,
Ale uchylam kapelusza.
Szatan? Bodajby i szatana
Takiego mieć, proszę ja pana,
Bo to potęga — a nam trzeba
Potęgi, jeszcze raz potęgi —
I naprzód, ufni w pomoc nieba,
Naprzód — po nasze ideały.
Czytał pan przecież wieszczów księgi,
Więc wie pan: wiara wzrusza skały,
Słowo jest czynu testamentem...
A Chopin! Gdyby naród cały
Zapalił się tym ogniem świętym
Wiary w potęgę! Gdyby znalazł
Taką jednostkę — oczywiście
Polaka, Piasta, proszę pana,
I zrzucił z nas niewiary balast —
O, wtedy zobaczylibyście,
Co może naród twardy, karny,
Gotowy, zwarty i mocarny...”

— Znam, proszę pana, te „zwycięskie
Narody”. Wiem też, ku przestrodze,
Co taki naród z takim wodzem
Na „historycznej” swojej drodze
Potrafi zdziałać.
Wolę — klęskę,
Niż żeby w Polsce miał być panem
I zaprowadzić ład pogański
Antychryst zmotoryzowany
I chmurnych durniów rząd tyrański.
A cóż to, panie, za ideał:
Ten sam szubrawiec w polskim sosie?
Pięknie by wieszczów polskich wcielał!
(Chopina sądziłby po nosie).
I gdyby nawet był Polakiem,
Z całą wyższością swego rodu
Nad owym, germańskiego chowu,
Dichterem z nożem za kubrakiem,
Denkerem z jaskiniowym przodkiem,
— Jeszcze by wtedy był łajdakiem,
Jeszcze by większym był wyrodkiem.

My, ludzie skromni, ludzie prości,
Żadni nad-ludzie ni olbrzymy,
Boga o inną moc prosimy,
O inną drogę do wielkości.

Grudzień 1940 r.

[1] Wyrażenie Józefa Wittlina.

HELENA BOGUSZEWSKA

Danusia

— A kto dał pani mój adres?

Z kąta pokoju pani Dzierlacka, pochylona nad beczką, z której przekładała kapustę do mojego garnka, nie odwracając się, spytała tak, powoli i niegłośno. Było w jej pytaniu coś, co mnie zastanowiło.

Stojąc w środku trochę zziębła i zmoknięta, z koszykiem pełnym paczek i z długim chlebem, sterczącym z siatkowej torby, posłusznie usiłowałam sobie przypomnieć: z sklepiku u Jaśkowskiej? Czy u Wojcieszkiewicza?

— Ach, już wiem! To tam u Malinowskich, gdzie brałam mąkę! Mówili, że pani ma dobrą kapustę, że pani ukisiła całą beczkę, żeby mieć dla sklepu, ale Niemcy zabrali pani wspólniczkę... A może Jagodziński?

Pani Dzierlacka przez chwilę milczała, nie odwracając się. Dziewczynka przy oknie milczała również i nie patrzyła na mnie. Było mi trochę tak, jakbym powiedziała coś niepotrzebnego. Deszcz lał po szybach. Było nieprzyjemnie.

Pani Dzierlacka wyprostowała się wreszcie i odwróciła ku mnie bladą twarz pod roztarganym czubem bardzo ciemnych, prawie czarnych włosów. Powiedziała z rozmysłem i z godnością:

— Niemcy wcale nie zabrali mojej wspólniczki. Sama się rozchorowała.

Poczułam, że kłamie. — I po co kłamie? — pomyślałam niechętnie. Szła teraz ku mnie z garnkiem pełnym kapusty, wysoka i chuda, i dopiero teraz, z bliska, zobaczyłam, jak ta blada twarz jest wymizerowana i umęczona. Moja niechęć znikła. Owszem, wydała mi się sympatyczna z tymi zbyt jasnymi, jakby wyblakłymi z płaczu oczami w czarnych rzęsach. Ze zdziwieniem zauważyłam szybkie spojrzenie tych oczu w stronę okna, ku tej małej, w milczeniu tkwiącej przy stoliku. W dość obszernym, ale ponurym pokoju był tylko ten stolik pod oknem, stołek, jedno krzesełko, przy ścianie łóżko, w kącie beczka, trochę jakichś nieokreślonych rzeczy, tobołów. Było nieprzytulnie.

Deszcz to zacinał, to się wzmagał. Niepodobna w tej chwili wyjść.

— Widocznie w takim małym mieście to ludzie muszą wszystko jeden o drugim wiedzieć. Muszą gadać... Przecież właściwie my tu nikogo jeszcze nie znamy... — zaczęła znowu pani Dzierlacka pojednawczo.

Rzuciwszy okiem na ociekające deszczem szyby, skwapliwie podjęłam rozmowę. Okazało się, że pani Dzierlacka wszystko, co miała z pieniędzy, wpakowała w tę beczkę kapusty i w wagi do niedoszłego sklepiku. Okazało się, że jest, tak jak i my, z Warszawy. Okazało się, że przyjechała tu niedawno i ledwie zdołała u Jagodzińskiego za drogie pieniądze wynająć ten pokój, w którym już teraz jest zimno, a cóż dopiero będzie w zimie.

— A pani daleko stąd mieszka? — spytała nagle, zainteresowawszy się moją osobą. Dotąd mówiła tylko o sobie.

— Na letnisku. Godzina drogi stąd — odpowiedziałam i westchnęłam mimo woli. Jak tu iść: deszcz, błoto i jakby już szarzało od przedwczesnego pozornego zmierzchu.

— To będzie w stronę Bugu? — ożywiła się nagle pani Dzierlacka.

— W stronę Bugu?... Tak. Ale do Bugu jeszcze daleko. Będzie cztery, pięć kilometrów — odpowiadam powoli, rozważając jednocześnie, czy iść zaraz, czy przeczekać ten najgorszy deszcz. Nie. Jednak lepiej przeczekać. Ale czy przejdzie?

— To tamtędy chodzą do Rzeszy, po towar, za szmuglem? — pani Dzierlacka ożywia się coraz bardziej. Dziewczynka spod okna zbliża się również, słuchając niespokojnie. Czuję, że tu chodzi im o coś ważnego. Odpowiadam, że parę kobiet z naszego sąsiedztwa chodzi za Bug. Mężczyźni też. Przynoszą kaszę, mąkę, olej. Czasami masło. Dobrze zarabiają.

— A pani była tam kiedyś? — Dziewczynka ma cienki głos, o brzmieniu jak u małego dziecka, ale oczy patrzą poważnie, dorośle, prawie przenikliwie, jasne, za jasne, w czarnych rzęsach, tak jak u matki — pani widziała jak tam jest?

— Byłam, widziałam... Cóż, mój handel niestety polegał tylko na sprzedawaniu własnych rzeczy... ale widziałam...

Stoimy teraz wszystkie trzy w środku tego prawie pustego pokoju, o kątach zaciągających się już jakby szarzyzną zmierzchu... Deszcz nacicha, prawie ustaje. Można by już iść. Trzeba iść...

Ale w tych wpatrzonych we mnie oczach jest coś takiego, że muszę mówić o magicznych „rajzach" za Bug; mnie samą wciąga już opowiadanie o tym strasznym Bugu: tak, tak, jest szeroki, jest rozlany wśród wierzb. Tuż za wsią Opole domy ciągną się wzdłuż jedynej piaszczystej drogi, nie dużo ich jest, ledwie kilka, a za domami rozmiękłe pola, wierzby, i zaraz tuż, niedaleko, Bug. Z okna widzi się, jak chodzą „pograniczaki"... Jest jeden taki najgorszy, nazywają go Westfal, ogromny, rudy, z psem. — Ja miałam tylko trochę własnych łachów, sprzedawałam tylko w Opolu, a jednak ostrzegano mnie, żeby iść cicho brzegiem zagajnika... A cóż dopiero ci, co naprawdę handlują i taszczą wory na plecach — tu mimo woli spojrzałam na wąskie ramiona pani Dzierlackiej, — nie nadają się chyba do dźwigania...

— Dużo szmuglarzy ginie? — niecierpliwie, prawie natarczywie dopytuje głos małego dziecka, a oczy patrzą dorośle, prawie groźnie, — duży procent ginie od kul tych „pograniczaków"?

Tak powiedziała — głosem dziecka.

— Duży procent ginie? — Zaskoczona zastanawiam się przez chwilę. Widzę, że pani Dzierlacka robi jakiś nieokreślony, jakiś ostrzegawczy ruch ręką. Jakby się przed czymś broniła. Odpowiadam powoli.

— No tak, giną. Ale trudno mi powiedzieć, jaki procent. Cichockiego zabili teraz niedawno. Jagusiak zginął... Cóż, głód zmusza ludzi do wszystkiego. Czyżby się pani też wybierała za Bug, pani Dzierlacka?

Tu się dopiero zaczęło, tu się rozpętało, na całego! Deszcz już zupełnie ustał, kałuża za oknem z burej staje się niebieska, robi się późno, a ja zamiast iść, stoję tu wpatrzona, wciągnięta w jakieś cudze sprawy. Już nawet nie zupełnie cudze, już nawet trochę jakby bliskie...

— Bo czy to ona da mi pójść na Bug? — z najwyższym wzburzeniem prawie krzyczy do mnie pani Dzierlacka, — czy to ona jest jak inne dzieci? Z czego mamy żyć, z tej kapusty? Wysprzedajemy ostatni łach, ona wygląda jak cień, przecież widzi pani, jak ona wygląda! Ją tylko jedną mam... Przecież ona nie przetrzyma wojny!

I z nagłą złością: — Ona chce rządzić!

Na to od stołu, z takim samym wzburzeniem, z taką samą nagłą złością, że co sobie matka myśli? Że co po łachach, po jedzeniu, co po wszystkim, jeśli matkę zabiją Niemcy?

Stoją naprzeciwko siebie, podobne jak dwie krople wody, jedna mała, druga duża, prawie dygocące z gniewu i ze złości.

Jeszcze z bladych, drobnych, gorzkich ust padają szybkie gwałtowne słowa, a już te zbyt jasne oczy różowią się żalem, skore do płaczu. I czy mnie wzrok nie myli? Bo co ta mała mówi? Że można zginąć dla sprawy, a nie można dla marnego jedzenia?

I tu jakby się spostrzegły, że nie są same, że ktoś obcy jest z nimi... Opanowały się w jednej chwili, ostygły, przygasły.

Zrobiło mi się trochę przykro, że jestem tą obcą. Zaczęłam, że istotnie, że może by inna jakaś praca...



Zburzona remiza tramwajowa



Remont sieci tramwajowej



Trolejbusy otrzymane od ZSRR

Pani Dzierlacka smutnie kiwa głową: próbowała już tego i owego. Teraz żadna praca nic nie daje, tylko handel — czy to pani nie wie?

— Wiem, wiem — i ja z kolei smutnie kiwam głową. A pani Dzierlacka ze zgaszonej

i smutnej robi się znowu inna. Światowa, grzeczna, krząta się koło mnie i szuka szmatki, żeby nią pokryć mój garnek z kapustą. Szuka papieru, żeby zabezpieczyć od zmoknięcia mój sterczący z siatki chleb, na wypadek ponownego deszczu. Bo przecież muszę już w końcu zapłacić za kapustę i iść!

— Jakżeż pani... — mówię już prawie na wychodnym — jakżeż córka jest do pani podobna!

Od razu pogodzone i rozpogodzone, jednako uśmiechnięte i w tym uśmiechu jeszcze do siebie podobniejsze, obejmują się jak siostry, obejmują się ruchem, jakby dawno już wypróbowanym. Mała obejmuje matkę w pasie, a matka małą za szyję.

— Ją tylko jedną mam teraz na świecie i dlatego tak ją rozpieszczam... Taka rozkapryszona...

— Rozkapryszona — myślę — wszystko, tylko nie to. Rozpieszczona?

Ale Danusia Dzierlacka istotnie spada nagle do roli rozpieszczonego dziecka. — Ja też mam ją tylko jedną na świecie, mam pozwolić, żeby mi ją Niemcy też złapali? — Dziecinny jej głos brzmi kapryśnie i prawie wesoło.

I tak je zostawiam: obejmujące się jak siostry, grzecznie żegnające odchodzącego gościa. Tak je zachowałam w pamięci.

* * *

A raczej takimi przypominałam je sobie, gdy po iluś tam dniach z koszykiem, siatką i garnkiem znowu pukałam do tych samych drugich drzwi na lewo w domku Jagodzińskiego z gankiem o kolorowych szybkach. Właściwie dopiero teraz zauważyłam te szybki, bo ogołocone już prawie ze swoich czerwonych liści dzikie wino zwieszało się nieledwie nagimi, węzłowatymi sznurami łodyg, gdzieniegdzie gronami małych czarnych jagód...

Tak, prawdziwa jesień już się zrobiła przez te dnie, a ile rzeczy zdążyło się „nadziać", jak to za czasów wojny. W wieloraki sposób spoglądały straszliwe niemieckie oczy spod hełmów i różne stopnie przerażenia podcinały nogi tym, co szli wprost na walące chodnikami miast bandy SS-manów. Za późno już, żeby się cofnąć. Wielorako też brzmiały kroki w ciężkich butach i szczękanie broni w ciemnych sionkach wiejskich domów. Z różnym napięciem rozpaczy patrzyły z okien wagonów twarze pojmanych w łapankach.

Różne też wieści przychodziły ze świata, raz dobre, a raz złe. I zależnie od nich zdawało się, że wojna już się niedługo skończy i zdawało się, że nie skończy się nigdy. I znów w zależności od tego, odbywając drogę z naszego zimnego letniego domku do miasta, tę drogę znaną na pamięć, a coraz to inną, zależnie od tych wieści, rozmaicie widziałam łagodną, przygaszoną zieleń ozimin w omglonym jesiennym słońcu, to znów oślepiającą żółtość liści przydrożnych brzóz na mocnym błękicie. I trzęsące się rumiane listki osiki nad przydrożnym rowem...

Rankami szkliły się już na dołkach małe lustra lodu o mozaikowych dnach z tych właśnie rumianych i żółtych liści. Z podmiejskich pól od dawna już ścięto ostatnią kapustę, — i kiszoną też już można było dostać w wielu sklepikach miasteczka, ale ja wiernie pukałam w domku Jagodzińskiego, drugie drzwi na lewo. A zapukawszy, czekałam chwilę z tamtym obrazem w oczach. Zupełnie jakby miały tak wiecznie stać Dzierlackie, matka i córka.

Nie, nie stały tak wiecznie. Danusia Dzierlacka otworzyła mi drzwi, chmurna, jeszcze chudsza i mizerniejsza niż przedtem. Ale poznała mnie od razu, uśmiechnęła się dziecinnie i ładnie, wzięła garnek z moich rąk, prosiła, bym usiadła na tym ich jedynym krzesełku, wytarłszy je poprzednio ruchem matki.

A matki nie było. Aż dziwnie, bo tak nierozłączne były w moim wspomnieniu. Tym razem mała podeszła do beczki w kącie, jak matka grzebała w kapuście drewnianą łyżką, sama mało co wyższa od tej beczki. I jak matka, nie odwracając się, przemówiła znad beczki obojętnym głosem. Bez żadnego wstępu spytała, jak tam moje sąsiadki z letniska, czy chodzą na Bug? I o tego złego pograniczaka Westfalla, i o starą Cichocką, co jej pograniczaki zabiły syna. I jak przedtem w głosie matki, tak teraz w jej głosie było coś, co mi kazało zastanowić się nad odpowiedzią.

— Chodzą... Nie... Nie zabili teraz nikogo, przynajmniej nie słyszałam... Czyżby mamusia... matka — poprawiłam się, przypominając, jak ona mówi — czyżby matka chodziła teraz z handlem na Bug?

Milczała chwilę, wciąż odwrócona do mnie plecami, zajęta tą kapustą, potem wyjaśniła krótko, że istotnie „matka postawiła jednak na swoim".

— Ale niech pani nie stara się mnie uspokoić, niech pani mówi prawdę — dodała twardo i zgoła nie dziecinnie. I zaraz zwróciła się do mnie, jakby zawstydzona, zmiękła, i znowu prosiła, żeby jej opowiedzieć, jak tam właściwie jest nad tym Bugiem. Więc znowu zaczynam to samo: szeroka piaszczysta, rozjeżdżona droga, drewniane domy z gankami, wierzby, rozmiękłe pola, wierzby, rozlane wody, wierzby, Bug, pograniczaki...

Widzę wlepione w siebie te jej za jasne oczy, szerokim rozwarciem utrzymujące rzęsy w dwóch znieruchomiałych czarnych łukach, widzę maleńkie gorzkie usta, ściśnięte w grymasie napiętej uwagi, widzę małe, niesłychanie chude ręce, dorosłym gestem splecione na za dużym niebieskim fartuchu. Słyszę swój własny głos w tym ponurym i starym pokoju, z łóżkiem, beczką, stolikiem i stołkiem, głos mimo woli przewlekle opowiadający jakby bajkę o pograniczakach, szmuglerzach i o Bugu. I wychodzi tak, jakby w budkach siedziały pograniczaki o niewidzących oczach i niesłyszących uszach, zatopione w swoich sprawach, obojętne i tępe. Jakby nikt już nie brał ich na serio. Jakby ludzie z tobołami na plecach swobodnie i wesoło chodzili tam i z powrotem, zupełnie przez nikogo nie zaczepiani.

Mała Dzierlacka słucha, a w miarę jak słucha, twarz jej się uspokaja, odpręża i mięknie, robi się zupełnie dziecinna. Nie na długo, bo w pewnej chwili Danusia staje się znowu nieuważna, roztargniona, rzuca okiem na budzik, spogląda w okno, i nagle z bezradną rozpaczą: — A jeśli nie wróci do szóstej, to co?

Aha, więc to tak jest z tobą, Danusiu Dzierlacka? Wiemy, czego ci potrzeba. Trzeba się roześmiać z twoich głupich strachów, trzeba ci odpowiedzieć jak dziecku, że jak nie wróci o szóstej, to wróci o pół do siódmej albo o siódmej...

Danusia rozjaśnia się. Biega po pokoju, szuka papieru do owinięcia garnka, odbiera i liczy pieniądze, wydaje resztę. Nagle poważnieje i znowu się zamyśla.

— A jeżeli... jeżeli będzie już ósma, a matki jeszcze... a matka wcale nie wróci? — pyta powoli, niegłośno, zacinając się i jąkając.

Teraz i ja poważnieję. — Słuchaj no, Danusiu. Nie można tak mówić: a jeśli o szóstej, a jeśli o siódmej, a jeśli o ósmej. To nie ma żadnego sensu. Trzeba sobie powiedzieć: matka może wcale nie wróci dzisiaj, i to wcale nie będzie znaczyło, że... że stało się coś złego. Moja sąsiadka bardzo często wraca dopiero nazajutrz rano albo i na trzeci dzień...

— Tak? — Danusia pije te słowa jak wodę życia. Wytrzeszcza na mnie oczy, otwiera usta jak małe dziecko. Przez chwilę milczymy obie. Słychać gadanie za oknem, turkot wozu na ulicy. Zaczynam zbierać moje paczki.

— Pani idzie? — przeraża się Danusia — niech pani jeszcze nie idzie, — prosi, błaga prawie.

Więc znowu bezradnie zasiadam na tym moim krzesełku. Robi się zupełnie cicho.

— Słuchaj, Danusiu — zaczynam — czy ty zawsze tak... czy ty zawsze wyrabiasz takie historie z tym czekaniem na matkę?

Nie od razu odpowiada. Patrzymy na siebie. Znika wielka mnogość lat, które nas dzielą. Zostaje tylko głęboka znajomość męki czekania, która nas łączy. Danusia jakby wstydliwie odwraca oczy.

— Zawsze, proszę pani. Bo jeszcze jest taka jedna rzecz... Pani jest inteligentna, pani pisze książki. To pani powinna to rozumieć.

Jestem niemile zaskoczona. — Skąd ty wiesz, że ja piszę książki?

Danusia śmieje się prawie wesoło. — Pani myśli, że ja nic nie wiem? Przecież jak tatuś był jeszcze z nami, to my... — i nagle urywa. — Tu na tym letnisku pani może się nie bać — zaczyna znowu pobłażliwie i jakby prawie z wyższością — my nieraz mówimy sobie z matką, że przecież tu nie ma gestapo, tylko te głupie SS-many. Oni są od kontyngentu, od kartofli, od świń, a nie od książek. Tylko do Warszawy pani powinna jak najmniej jeździć — kończy z wielką znajomością rzeczy.

Milczę coraz bardziej zaskoczona, ale ona już wraca do swego, że jeżeli do zmierzchu czeka spokojnie, i je, i nie płacze, i nie boi się o matkę, to potem będzie jeszcze gorzej, bo jej się zdaje, że matka wcale nie wróci.





Montaż składanych domków, ofiarowanych

Właśnie dlatego, że ona się nic nie bała. Ale jak się tak porządnie wypłakać i nic nie jeść, i wymęczyć się czekaniem, to właśnie wtedy matka prędzej wróci...

Przerywam jej te teoretyczne wywody. — Słuchaj no, Danusiu, ile ty właściwie masz lat?

— Jedenaście. A pani myślała, że siedem? Wszyscy myślą, że siedem. Ale ja się nie martwię, bo u nas w rodzinie każdy jest taki mały, a potem wyrasta wysoki, i matka mówi, że była taka mała, i wujek, i brat... — urywa nagle i wzdycha.

— Tak. To tak bywa — zaczynam, aby tylko coś powiedzieć, ale Danusia nie zwraca już na mnie uwagi. Nieruchomieje, z twarzą stężałą nagle w strasznym napięciu.

— Danusiu — ale ona macha na mnie ręką, nasłuchuje. Teraz już i ja słyszę. Słyszę szuranie nóg w sieni. Danusia z piskiem rzuca się do drzwi. Dzierlacka staje w progu, zgięta pod workiem, dysząca ze zmęczenia, ledwie żywa. Podchodzi do stołu, odwraca się plecami, żeby oprzeć na nim worek.

— Czekaj! Puść mnie, puść! — Rozwiązuje jakieś paski, rzemienie, i broni się przed córką, bo Danusia dusi ją, nieprzytomna ze szczęścia. Wrzeszczy, piszczy.

Odchodzę, żeby im nie przeszkadzać. Przechodząc pod oknem, słyszę, że wrzaski radości przeszły już w wymówki. Że dlaczego tak długo nie wracała? Że po co w ogóle poszła?

A matka ze złością, czy Danusia zjadła, co miała przygotowane? — Nie? dlaczego nie zjadła? Żeby matce na złość zrobić?

Kłócą się coraz gwałtowniej, kłócą się straszliwie...

Jagodziński w długich butach i granatowym kaszkiecie ukazuje się na ganku. Przechodząc pod oknem kiwa do mnie porozumiewawczo: — One zawsze tak się kłócą, a jedna bez drugiej żyć nie może.

Omijając kałużę, idziemy razem w stronę rynku.

— Kapustę pani od nich bierze? — mówi Jagodziński i zaraz bez żadnego przejścia oznajmia, że Niemcy otoczyli dziś rano stację kolejki i zabrali 40 mężczyzn. I jeszcze, że w Warszawie znowu są straszne łapanki i że u Wojcieszkiewicza można kupić makaronu bez kartek.

Chcę go wypytać o tę kolejkę i łapankę, ale on już znika wśród wozów na rynku. Za to, w innym miejscu ulicy i błota, spotykam Budkową z pustymi blaszankami od mleka. Potwierdza wieść o łapankach i o makaronie, dodaje jeszcze, że u Malinowskiej jest pośledniа mąka i że podobno ma tu zjechać jakaś nowa żandarmeria, Schutzpolizei, czy jak tam...

— Schutzpolizei? a cóż oni będą tu robić?

— Ja wiem? — oczy Budkowej latają po przechodniach, po rozwierających się z brzękiem drzwiach sklepiku. Cała Budkowa rozpływa się w grupie ludzi przy jakiejś furze.

Idę sama. Miejska ulica zmienia się w drogę, zrazu roztłamszoną nogami, potem coraz twardszą, ze szklistą skorupą cienkiego lodu w koleinach. — Co oni tu będą robić?... — Krople wody na cienkich gałązkach przydrożnych brzóz zmieniają się w ładne perłowe kulki, sosny w zagajniku pachną, słabo i zimno, ale pachną. — Ach, oni nie przyjdą wcale. Tyle już było plotek...

Sztachety, potem rozebrany płot, potem dziurawe ogrodzenie z siatki. Potem nic, a na prawo domek wśród brzóz. Nagły strach, czy się co nie stało. Nagła ulga, że się nic nie stało. Rozpalony do czerwoności mały piecyk, szczęśliwe opary kartoflanki, stereotypowe pytanie, co mówili w mieście...

— Ach nic, tylko czterdziestu ludzi zabrano dziś przy kolejce... I jeszcze mówili, że Schutzpolizei ma tu przyjechać... I że łapanki w Warszawie...

— Kto mówił?

— Budkowa.

Uspokajające machnięcie ręką. — Ach, Budkowa zawsze gada. Kapustę masz?

Razem z garnkiem kapusty wyłania się wieść o Dzierlackiej, ale dziwnie jakoś zwątlała i uwiędła. Po prostu nikt nie słucha tego, co opowiadam o Danusi Dzierlackiej. Ktoś rozlewa kartoflankę w wojenne gliniane miski, ktoś kraje chleb, ktoś inny mówi, żeby nie krajać, bo kartoflankę można zjeść bez chleba, a chleb będzie na wieczór. Ktoś głosi przepowiednie o końcu wojny. Ktoś irytuje się, że dosyć ma przepowiedni, ktoś prawie krzyczy, żeby nie było żadnych wiadomości choć przez czas tej kartoflanki...

Łatwo powiedzieć! Kiedy przychodzi czas na wiadomości, to niczym ich nie powstrzymasz. Przychodzą z zimnym pędem powietrza przy każdym otwarciu drzwi, z zabłoconym śniegiem naniesionym przez każde wchodzące buty, wkradają się w każdym dźwięku głosu w sieni. Czy rzeczywiście nie można by się tak zmęczyć rąbaniem drzewa do piecyka, żeby już nie reagować na wiadomości? Nie, nie można. Nigdy jeszcze nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej od złych wiadomości. Nigdy nie jest tak dobrze, żeby się starannie a fałszywie nie odżegnywać od dobrej, w obawie nowego zawodu. Jedno jest pewne: do świąt nic się już nie zmieni. Te święta trzeba jakoś spędzić. A z tego wynika inny pewnik: na wilię muszą być pierogi z kapustą.

Z kapustą? Stąd już tylko jeden krok, i już oto wyłaniają się znowu z niebytu Dzierlackie, matka i córka. Kochające się, kłócące, jednakowe i dziwne...

* * *

Dymy z kominów idą prościuteńko w górę na zimowym bladym niebie. Studnie obrosły lodem. Niebieskawe cienie łamią się na śniegu wzdłuż drogi, a w sieni Jagodzińskiego, drugie drzwi na lewo, klamka aż parzy mrozem.

— Tak, właśnie rozmawiałyśmy z Danusią — śmieje się do mnie Dzierlacka od kuchni. — Właśnie mówiłyśmy, że pani przyjdzie do nas po kapustę na święta!

Wydała mi się trochę inna niż przedtem. Weselsza. Nawet, jakby trochę lepiej wyglądała. W pokoju też coś się zmieniło: zrobiło się jakoś cieplej, zasobniej. Porozstawiane statki, gospodarski nieład, na stoliku biała mąka, stolnica, wałek.

— Widzę, że pani się już zagospodarowała, pani Dzierlacka? Jakże wam się udaje handel na Bugu?

Pani Dzierlacka chmurnieje. W milczeniu bierze z rąk moich garnek i nachyla się nad dobrze już nadczerpaną beczką. Długo grzebie na dnie swoją kopyścią. I dopiero po chwili rozlega się jej obrażony, nieco dudniący nad próżnią klepek, głos:

— A czy to ona dała mi chodzić na Bug? Przecież postawiła na swoim, mnie nie puściła, a sama poszła — i odwracając się ku mnie z pełnym garnkiem zatacza koło ręką. — Ot, co zrobiła! Kazała mi piec pierożki, a sama sprzedaje na kolejce. Jedzie na ósmą minut pięćdziesiąt, a wraca po dwunastej. No i co pani na to? — zapytuje, spoglądając na budzik, potem na mnie.

Co ja na to? Nie wiem sama, co odpowiedzieć. Dobrze mi znajome za jasne oczy patrzą pytająco, nie wiem, czego ode mnie czekają — aprobaty dla tej danusinej samowoli, czy też nagany?

Ale okazuje się, że pani Dzierlacka niczego ode mnie nie czeka. Zasiada na niskim stołeczku, którego dawniej nie było, z moim garnkiem między kolanami, i opowiada po swojemu prędko, gwałtownie, jaka to ta jej Danusia jest. Że tak się o nią, o matkę, strasznie bała, że już zupełnie nie mogła wytrzymać. Matka zastawała ją prawie nieprzytomną z męki czekania. Ciągle tylko powtarzała: ciebie jedną już tylko tutaj mam, i co będzie, jeśli ciebie Niemcy złapią? I to nie dla żadnej sprawy, tylko dla marnego jedzenia...





Warszawie przez Związek Radziecki

Zabulgotało coś na płycie. Pani Dzierlacka wstaje, znowu spogląda na godzinę, przestawia garnki, i jakby trochę uspokojona, z dumą opowiada o tym, jak Danusia sama wyprosiła sobie kredyt u młynarza, jak się o wszystko wystarała pod nieobecność matki, jak o wszystkim pomyślała co i jak...

— Jak stara, no mówię pani, zupełnie jak stara. A jakie ma szczęście! Jak to od niej kupują! Tylko przejdzie się, wykrzyknie „pierożki, świeże domowe pierożki"... Pani sama zobaczy, kiedy pani pojedzie do Warszawy. Ale teraz „przede święty", to pani chyba już nie pojedzie?

Nie, przede święty już nie zdążę pojechać. Trzeba coś zrobić w domu, przygotować trochę jedzenia...

Pani Dzierlacka znowu chmurnieje... Tak, tak, trzeba coś przyszykować... A choćby i te paczki do więzienia, choć nawet i to nie wiadomo, czy te ścierwa im oddadzą...

W zamyśleniu postukuje łyżką o brzeg garnka. — Najgorzej w święta takiemu, co się kryć musi w lesie, czy gdzie, jak ten szczuty zwierz... I jak to takiemu paczkę z domu podać? — mówi z rozpaczą. — My z Danusią nieraz jak o nich rozmawiamy, to potem Danusia w nocy tak płacze, tak płacze... Bo to i ojciec, i brat, i teraz ciotka...

— Bo siostra męża też na Pawiaku... Cała rodzina! — Oznajmia z dumą, odwracając ku mnie rozpłomienioną od kuchni twarz. Jest teraz jakby natchniona, prawie piękna, pod czubem potarganych bardzo ciemnych włosów, gdzieniegdzie już siwiejących. Szpecą ją tylko różowe obwódki oczu zbyt skorych do płaczu.

Patrzę, słucham... — Siostra męża ta pani wspólniczka, co to niby zachorowała?

— No tak, co to będziemy przed sobą... Ja przecież dobrze widzę, że pani też...

Milczymy długą chwilę. Ludzie za oknem chodzą, gadają, słychać turkot fur po bruku. Ruch przedświąteczny.

— Dawniej to były święta... — w zamyśleniu wspomina pani Dzierlacka. — Inteligencja to może tak nie dbała, ale w porządnej proletariackiej rodzinie to wszystkiego musiało być... Mąż był zecerem, dobrze zarabiał, pani wie... Nieraz myślę, co on by powiedział, że jego córka tak teraz lata z koszykiem po tych wagonach? Że tak się sama rządzi, jak chce, że ja ją tak puściłam? — Zwraca się znowu do mnie, nagle zgryziona, niespokojna.

— A cóż by miał powiedzieć? Ucieszyłby się!

— Myśli pani — pani Dzierlacka znowu spogląda na budzik i coś przestawia na kuchni.

— Ucieszyłby się, że córka taka dzielna, że daje sobie radę, że kocha matkę...

Pani Dzierlacka rozjaśnia się. — No, co do tego, to już nie ma o czym mówić, ona po prostu wariowała ze strachu o mnie!

— A pani wariuje ze strachu o nią... No nie?

Tak powiedziałam i zaraz pożałowałam tych słów, widząc jej nagle zmienioną twarz. Więc zaraz dodaję, że Danusia słusznie mogła się niepokoić o nią, o matkę. Ale niepokoić się o Danusię, to już nie ma najmniejszego sensu. Przecież Niemcy nie zaczepiają takich dzieci w wagonach, nawet Niemcy...

Pani Dzierlacka znowu się rozpromienia. I taką rozpromienioną zachowałam ją w pamięci. Na zawsze. Bo przecież nigdy już jej nie miałam zobaczyć. Ani jej, ani Danusi...

* * *

Jeździłam wprawdzie tej zimy kolejką do Warszawy nawet parę razy. Zdawało mi się kiedyś, że słyszę jej dziecinny cienki głos w chórze tych rozmaitych cukierków, karmelków nadziewanych, irysków, papierosów, bułeczek, świeżych bułeczek... Ale nie, to nie był jej głos.

Był starszy pan z walizką pełną pączków nadziewanych, świeżych, arakowych, była ładna czarna dziewczyna z pasztecikami, ale Danusi nie było...

Były kobiety, uginające się pod worami czegoś i pod bańkami mleka, były inne z tobołami potwornych rozmiarów, a nieproporcjonalnie lekkimi, jak pęcherze, bo pełnymi pustych baniek. Byli podwarszawscy handlujący mieszczanie w długich butach i granatowych kaszkietach, byli wynędzniali inteligenci z teczkami i w okularach, były miasteczkowe paniusie-sklepiczarki, jeżdżące do Warszawy po towar, wracające z Warszawy z towarem, ale Danusi nie było...

Grajek harmonista, na pamięć znający każdy bufet stacyjny i każdego bywalca kolejki, poufale i szelmowsko doń mrugający, odśpiewywał przepitym, ale ładnym głosem „Jaka piękna jest moja dziewczyna" pod fałszywe granie harmonii. Trzy starsze byłe śpiewaczki, zziębłe, zgłodniałe, resztkami głosów nuciły staroświeckie tria, słodko i muzykalnie. Panowie w sakpaltach, wyglądający na pasażerów, nagle a niespodziewanie otwierali walizeczki pełne nożyków, grzebyków i „asortymentów" igieł w papierkach. Kolejka szumiała interesami, gadaniami, handlem, towarem, macherkami, opowiadaniami o „rajzach": tu zabili, tam złapali, tam rozstrzelali. Wszystko to, przerywane od czasu do czasu uderzeniem straszliwych niemieckich oczu pod hełmami, cichło nagle i znowu wzbierało zgiełkiem po przejściu niemieckich ciężkich butów. Tak, tak, normalne życie kolejki wrzało, ale nie było w nim Danusi...

— Cóż — myślałam — widocznie jeździ w innych godzinach albo przeziębiła się i siedzi w domu. Trzeba by tam do niej zajść...

Co tu długo gadać, niewiele o niej myślałam. Może tylko parę razy przeleciało mi tak przez głowę, pełną własnych spraw, własnych trosk, własnych niepokojów. Aż raz mignęły mi, już przy wyjściu w Radzyminie, zielonkawo-siwe wąsy, dobrodusznie chytre oczy pod granatowym kaszkietem, cały pan Jagodziński, w kurcie, w długich butach, z żelazną rurą od piecyka pod jedną pachą, z paczką w żółtym papierze pod drugą...

Przy wysiadaniu znikł w tłumie, ale znów się wyłonił przy furtce, gdzie odbierano bilety. Poszliśmy razem ulicą. Spytałam o lokatorki, o tę małą Danusię, co sprzedawała pierożki w kolejce.

Aż przystanął pod murem. — To pani nic nie wie? Niemiec ją zabił w Markach. Będzie już trzy tygodnie...

Oparłam się o ścianę.

Obejrzał się w koło i zapytał: — A co pani myśli? Widocznie śledzili za takim, co jej dawał coś do koszyka... I jak tylko kolejka ruszyła, Niemiec rzucił się na nią, ale ona też cwana była, nie można powiedzieć, jak tylko poczuła, że źle, wszystko, co miała, wyrzuciła przez okno. Niemiec od razu zabił ją kolbą, ale w koszyku nic nie znalazł, tylko te pierożki. A wie pani, co tam było?

Nie wiedziałam. Stałam oparta o mur, widziałam dokładnie przechodzących ludzi, widziałam zielonkawe wąsy Jagodzińskiego.

— Najciekawsze na koniec — obejrzał się jeszcze raz wokoło, i patrząc mi z bliska prosto w twarz, szeptał dobitnie dzieląc wyrazy:

— Za-pal-ni-ki do gra-na-tów! Moja pani, zapalniki do granatów... Pani słyszy? Takie dziecko!

Milczałam. A on, poczekawszy chwilę: — Cieszę się, że się ich pozbyłem z mieszkania. Bo to cała rodzina taka. Ten młody powiadają, że to jej brat, co był za desanta w lesie... Ojca Niemcy złapali z bronią, i nie wiadomo, czy żyje...

Milczałam. Nie śmiałam pytać o matkę. Ale on sam powiedział, że znikła zaraz nazajutrz. Wyniosła się. Wyjechała.

— Nie poznałaby jej pani, nie ten człowiek. Zrobiła się siwa. Ale spokojna, nie mówiła nic. No, ja tu skręcam, a pani prosto...

Dopiero teraz zauważyłam, żeśmy znowu uszli kawałek, mijaliśmy teraz sklep Wojcieszkiewicza z brzęczącymi drzwiami, z których wysypali się ludzie. Jagodziński zatrzymał się przy nich, ale po chwili dogonił mnie znowu.

— Tam u mnie w tym mieszkaniu siedzi już kto inny. Szwagierkę wziąłem z dziećmi, ona też ma dobrą kapustę, nawet lepszą. Pani będzie potrzebowała, to pani wstąpi...

Lublin-Kraków — zima 1945 r.

KRONIKA
życia kulturalnego w Polsce

KSIĄŻKA, BIBLIOTEKI, ARCHIWA

Sprawie zniszczenia książki polskiej i zagadnieniom jej odbudowy poświęcony jest duży artykuł Jana Kotta („Odrodzenie" Nr 17 — 25.III.45). Stan faktyczny jest według ob. Kotta taki, że w Warszawie ocalały jakoby tylko biblioteki: Uniwersytecka i Narodowa, inne zaś poniosły wielkie straty i trzebą około roku, by je doprowadzić do porządku. Wiele księgozbiorów warszawskich spłonęło albo butwieje pod gruzami. Spłonęła w czasie walk o Poznań świetna biblioteka Kórnicka i szereg bibliotek pomorskich. Niemcy systematycznie niszczyli wszystkie biblioteki miejskie, szkolne i wojskowe. Kraków jest jedynym miastem w całej Polsce — stwierdza autor — posiadającym stosunkowo nienaruszone biblioteki (z Jagiellońską na czele), prywatne księgozbiory i magazyny księgarskie. Straty w dziedzinie funduszu książkowego autor ocenia na 95% stanu przedwojennego.

— Trzonem mającej powstać gęstej sieci nowych bibliotek gminnych, szkolnych, spółdzielczych i objazdowych nie może być literatura współczesna — rozumuje ob. Kott. — Podstawę masowego czytelnictwa tworzą zawsze wznowienia klasyków. W ciągu pięciu lat potrzeba nam będzie co najmniej 10 milionów książek, nie licząc podręczników szkolnych. Pozostawić tę sprawę woli prywatnych wydawców, znaczyłoby zaniedbać sprawę książki polskiej na długie lata. Ale i przeciw objęciu przez wydawnictwo państwowe wznowień literackich autor wypowiada się dość stanowczo (motyw: „nieuchronne zbiurokratyzowanie pracy, która wymaga stale swobodnej inicjatywy i twórczych pomysłów").

Pozostawiając pole do działania prywatnej inicjatywie wydawniczej, autor lansuje słuszną ideę „centralnego planu wydawniczego dostatecznie szerokiego, aby umożliwił nieuniknione zmiany i przesunięcia, dostatecznie ścisłego, aby ustalił zasadnicze linie kierunkowe odbudowy polskiej książki". Plan taki opracowany przez specjalną Radę Książki (szeroką komisję fachowców — spółdzielni czytelniczych, nauczycielstwa, profesury, literatów) pozwoliłby uniknąć przypadkowości, marnotrawstwa pracy i papieru, a na odwrót przyczyniłby się do tego, że wychodziłyby książki istotnie ważne dla rozwoju kultury społecznej. Plan taki ustaliłby nie tylko zasadnicze rodzaje wydawnictw, ale i hierarchię ważności, która decydowałaby o kolejności ukazywania się poszczególnych dzieł.

Autor kreśli zarys takiego planu, rozbijając go na 5 serii. Piąta z nich stanowiłaby w zamyśle autora „zasadniczy trzon bibliotek ludowych, szkolnych, spółdzielczych, żelazną podstawę każdego księgozbioru". Ta „Biblioteka Powszechna" obejmowałaby klasyków wszystkich narodów, ze „specjalnym jedynie uwzględnieniem literatury polskiej". Miałaby ona służyć sprawie udostępnienia i przejęcia przez nową inteligencję polską — całości dziedzictwa kulturalnego.

Autor poddaje dyskusji publicznej „listę stu pierwszych książek", które powinny jego zdaniem przede wszystkim wejść jako fundament, zapoczątkowujący tę serię.

Biblioteka Publiczna w Warszawie, która liczyła przed wojną 1/2 miliona tomów, ma ich obecnie 99 tysięcy. Ma ona dwie filie — wypożyczalnie na Pradze, dwie nowe zostaną otwarte na lewym brzegu Wisły oraz po jednej na Saskiej Kępie i na Bródnie.

Przy współpracy literatów i profesorów bibliotekarzy powstała w **Zakopanem Biblioteka Miejska,** która skoncentrowała wszystkie zbiory rozgrabionych przez Niemców bibliotek zakopiańskich. Liczy ona już kilkadziesiąt tysięcy tomów.

Wznowiła działalność **Biblioteka Miejska w Bydgoszczy.** Wsławiła się ona ostatnio pięknym uczynkiem: ofiarowaniem Marszałkowi Stalinowi — w dowód wdzięczności za oswobodzenie miasta od barbarzyńskich okupantów — książek, stanowiących własność osobistą Lenina. Książki te zostały ofiarowane przez prezesa Wojewódzkiej Rady Narodowej dra Wiechnę przedstawicielom miejscowego dowództwa Czerwonej Armii — dla doręczenia ich Marszałkowi Stalinowi. Jednocześnie prezydent miasta wręczył im następujący adres:

„Obywatele miasta Bydgoszcz, wdzięczni za wyzwolenie z jarzma germańskiego, dokonane dzięki wspaniałym zwycięstwom Armii Radzieckiej, ofiarują Wam, wielki Marszałku, ze zbiorów biblioteki miejskiej w Bydgoszczy materiały naukowe odnowiciela Rosji Włodzimierza Lenina, uratowane szczęśliwie przed zniszczeniem ich przez barbarzyńskiego zaborcę".

Historii prześladowań i tępienia bibliotek polskich, książki polskiej i polskiego księgarstwa poświęcone są dwa artykuły prasy krajowej, a mianowicie: Mieczysława Wionczka „Książka w więzieniu" („Odrodzenie", nr 20) i Seweryna Pollaka „Losy bibliotek warszawskich" („Rzeczpospolita", nr 78). Oba artykuły obfitują w nader ciekawe i nowe dla nas szczegóły barbarzyńskiej akcji prze-

śladowczej okupantów hitlerowskich, ustalając m. in. nazwiska niemieckich tępicieli książki polskiej i ich polskiego agenta, niejakiego Ramułta. Wionczek stwierdza, że dwa znane mu prywatne zbiory książki konspiracyjnej, wydawanej w kraju nielegalnie w latach 1940—44, liczyły ponad 400 pozycji bibliograficznych, w tym około 80 tomików poezji. Pierwsza nielegalna publikacja literacka polska pod okupacją miała nakład 46 egzemplarzy.

Archiwum Literatury Podziemnej powołał do życia Związek Zawodowy Literatów Polskich. Ma ono za cel gromadzić wszelkie utwory literackie — wiersze, prozę, dramaty, rozprawy krytyczne — powstałe w czasie okupacji, a także relacje o organizacji życia literackiego tego okresu. Związek zwraca się do wszystkich, którzy mają te sprawy w świeżej pamięci, by zechcieli wiadomości swoje spisać i przekazać Archiwum. Jednocześnie celem Archiwum jest zebranie zbioru pism, ulotek, druków, odezw, materiałów powielaczowych, dotyczących twórczości i życia literackiego tych lat.

6 wagonów książek, stanowiących własność warszawskich bibliotek publicznych, znaleziono w miejscowości Geerbitsch pod Frankfurtem nad Odrą. Książki zabezpieczono. Wydział Biblioteczny Ministerstwa Oświaty organizuje rewindykację ich i zwrócenie prawym właścicielom — ograbionym bibliotekom warszawskim.

Znaczną ilość książek Biblioteki Narodowej i Uniwersyteckiej, wywiezionych przez hitlerowców z Warszawy — odnaleziono też w barakach poniemieckich w Pruszkowie. Książki zabezpieczono. Wrócą do Warszawy.

Nowe wydanie „Trybuny Ludów" Mickiewicza podejmuje w Paryżu Stowarzyszenie Przyjaźni Francusko-Polskiej, powstałe we Francji jeszcze za okupacji hitlerowskiej, m. in. przy udziale Romain Rollanda. Projektuje się dwa wydania — francuskie w Paryżu i polskie — w Warszawie. Powołano już do życia redakcję francuską, złożoną z profesorów „College de France" (uczelni, której profesorem był Mickiewicz w okresie redagowania „Trybuny Ludów"), dalej z przedstawiciela Min. Oświaty i kół literackich.

Straty narodowego funduszu archiwalnego są olbrzymie i niepowetowane. Nowym pokoleniom badaczy naszych dziejów, naszych stosunków politycznych, społeczno-gospodarczych czy kulturalno-obyczajowych brakować będzie już stale dokumentalnych źródeł archiwalnych. Straty te ustalone zostały dzięki pracy prof. Suchodolskiego. Z 15 większych archiwów, jakie miała Warszawa w chwili wybuchu wojny (wśród nich — 6 ogólnopaństwowych) — po wyzwoleniu stolicy wszystkie okazały się bądź zniszczone, bądź wywiezione do Niemiec. Zachowała się część nielicznych zbiorów w granicach od 15% do 25%.

Spalone zostały gmachy i zbiory Archiwum Głównego na Długiej, zawierające bezcenne akta i księgi dawnej Rzeczypospolitej, sięgające XIII wieku (przeszło milion woluminów akt i ksiąg władz Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego). Już po stłumieniu powstania spalili Niemcy całkowicie Archiwum Miejskie m. Warszawy (300.000 jednostek), mieszczące się w stylowym Arsenale i odnowione przed wojną kosztem 1.300.000 zł. Dalej Archiwum Kurii Metropolitalnej na Miodowej i Archiwum Gminy Żydowskiej. Całe Centralne Archiwum Wojskowe z Fortu Legionów w Warszawie (1/2 miliona jednostek archiwalnych) wywieźli Niemcy jeszcze w 1939 r. jako zdobycz wojenną, wywieźli również archiwum generał-gubernatorstwa warszawskiego i lubelskiego z czasów pierwszej okupacji (1914—1918). Te ostatnie archiwa zawierały niewątpliwie wiele cennych przyczynków do dziejów ówczesnej pruskiej agentury w naszym narodzie, do dziejów tych, którzy paktowali z Beselerem i Kukiem, ofiarowując im Polskę jako dodatek wschodni do pruskiej „Zentral-Europy".

Archiwum Tajnego Nauczania utworzyło Ministerstwo Oświaty, ogłosiwszy, że zbiera ono wszelkie materiały, tyczące 5-letniego przeszło okresu tajnej nauki w Polsce. Materiały te mają posłużyć za podstawę do monograficznego opracowania dziejów tego bohaterskiego okresu walki narodowej z barbarzyństwem najeźdźcy hitlerowskiego.

TEATR

Życie teatralne polskie, zahamowane w swym rozwoju, a nawet w samym istnieniu przez najazd hitlerowski, odżyło i szybko odradza się — przy wydajnym poparciu rządu.

Przodowniczą rolę odgrywa Teatr Wojska Polskiego. Dyrektorem jego jest znany artysta krakowski, mjr Krasnowiecki. Recenzując premierę „Wesela" Wyspiańskiego w wykonaniu zespołu tego teatru w Krakowie (reżyser znany aktor Jacek Woszczerowicz) recenzent „Polski Zbrojnej", St. Witold Balicki, podkreśla wielki sukces przedstawienia. Krasnowiecki i Woszczerowicz tak dalece odeszli od starych szablonów w traktowaniu „Wesela", że stało się ono „potężnym wstrząsem ideowym i artystycznym", „przeżyciem chwili osobliwej". Balicki utrzymuje, że w interpretacji Teatru Wojska Polskiego — gra zespołowa i reżyseria „odkłamały" Wyspiańskiego, z którego w ostatnim dziesiątku lat międzywojennych zdołano uczynić poetę... faszystowskiego. W nowej interpretacji „widać, że Wyspiański w konflikcie między inteligencją miejską a chłopstwem staje po stronie chłopa, że go rozumie i odczuwa". Dzięki temu „Wesele" dochodzi do świadomości widza, jako gryząca satyra na rzeczywistość polską sprzed 40 z górą lat. Stąd satyra ta „jest i dziś społecznie aktualna" — kończy Balicki.

Jako drugą swą premierę **Teatr Wojska Polskiego w Łodzi** pokazał „Dożywocie" Fredry, według inscenizacji Aleksandra Węgierki, którego świetne kreacje pamięta nie tylko przedwojenna Warszawa (w teatrach Szyfmanowskich), ale i Białystok z lat 1939—40, a w przeddzień wojny niemiecko-radzieckiej — Mińsk.

Juliusz Osterwa, znakomity artysta i reżyser Polski przedwojennej, na specjalne zaproszenie Teatru Wojska Polskiego przybywa do Łodzi, aby reżyserować dramat Juliusza Słowackiego „Fantazy". Po sześcioletniej przerwie w sztuce tej wystąpi Janina Romanówna.

W **Krakowie** wznowił działalność stary świetny teatr im. J. Słowackiego pod dyrekcją Karola Frycza przy współpracy Teofila Trzcińskiego i Eug. Bujańskiego. Teatr Słowackiego na inaugurację dał „Przepióreczkę" Żeromskiego. Wybór niezbyt udany. Przedstawienia — stwierdza Balicki — przyjmowane są dość zimno. Poruszając w tym utworze problem ofiary, żądając czystości moralnej jednostki — co zapewne było motywem wystawienia tej rzeczy właśnie teraz w Krakowie — Żeromski „nie zauważył — podkreśla ze słusznym krytycyzmem recenzent „Polski Zbrojnej"—jaką katastrofę społeczną przynieść może uzależnienie czynu społecznego od woli czy kaprysu indywidualności, a nie zbiorowości. Dlatego, kształtując programy wychowania narodowego przez... teatr, dobrze uważać trzeba na wartościowy dobór dzieł nie tylko pod względem artystycznym, ale i ideowym".

Po „Przepióreczce" Teatr im. Słowackiego wystawił „Zemstę" Fredry z Jerzym Leszczyńskim jako Cześnikiem i Solskim w roli Dyndalskiego.

Otwarto też w Krakowie drugi teatr pod dyrekcją Ronarda Bujańskiego. Na otwarcie przygotowano nową sztukę Jerzego Zawieyskiego (autora „Powrotu Przełęckiego") „Mąż doskonały", osnutą na tragedii powstania warszawskiego.

W Krakowie organizuje się także **Teatr Powszechny**, pomyślany jako teatr dla szerokich mas. Cel — upowszechnić kulturę teatralną i propagować aktualną problematykę społeczną. Teren działania — przedmieście i peryferia Krakowa, woj. krakowskie i garnizony wojskowe.

W Łodzi zorganizowany jest Teatr Miejski, **Teatr Związków Zawodowych, Teatr Rewii.**

Pierwszy wielki Dom Kultury został otwarty 18 marca w dawnym pałacu Poznańskich w Łodzi. Będzie on miejscem wypoczynku i rozrywki robotników łódzkich, inicjatorów tej placówki kulturalnej, nowego w Polsce typu. Dom posiada bogato wyposażoną bibliotekę i czytelnię. Urządzane w nim będą koncerty, odczyty i przedstawienia.

Znana artystka polska Mira Zimińska występuje obecnie w klubach robotniczych w Łodzi. W 1942 roku hitlerowcy zaaresztowali Zimińską i więzili na Pawiaku przez kilka miesięcy za satyryczną piosenkę o Hitlerze, którą śpiewała przed wojną w Warszawie. Po powstaniu sierpniowym artystka została wywieziona do obozu w Pruszkowie, gdzie skomponowała piękną piosenkę o Warszawie. Zimińska zamierza wkrótce występować w Warszawie.

W Bydgoszczy organizuje się Teatr Polski pod kierownictwem artysty dramatycznego Kazimierza Wilanowskiego, którego Bydgoszcz pamięta z jego wybitnych kreacji artystycznych w latach 1931 — 1935. Mają też powstać teatry: muzyczny, szkolny i robotniczy.

Toruń otrzyma w najbliższym czasie dobry polski teatr. Przyjeżdża tutaj z Wilna (Wielka Pohulanka) Teatr Polski z całą obsadą artystyczną i rekwizytornią.

Teatr Polski w Warszawie przy ul. Słowackiego zaczęto już remontować. Utrzymują, że we wrześniu r. b. ten najpiękniejszy ongiś teatr stolicy (zbudowany w r. 1913) zdoła wystąpić z inauguracyjną premierą.

Bajkę sceniczną dla dzieci wystawił po raz pierwszy w marcu roku bieżącego Teatr m. st. Warszawy. Bajka, napisana przez St. Płonkę-Fiszera, pt. „Syrena" obrazuje dzieje najazdu hitlerowskiego na Polskę, plastycznie uprzystępniając dzieciom zagadnienie odpowiedzialności za zbrodnię. Jak stwierdza warszawska krytyka teatralna, młodociani widzowie wyrażają swe uczucia przy pomocy tak szczerych okrzyków entuzjazmu czy oburzenia, że w przebiegu akcji bierze udział cała rozszczebiotana sala.

Organizowane są też **teatry w Poznaniu**: miejski (dyr. Łuczak-Stoma) i opera (dyr. Wojciechowski).



Aleksander Zelwerowicz

Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej organizuje się w Łodzi pod dyrekcją świetnego aktora polskiego Aleksandra Zelwerowicza. Projektowane są wydziały: aktorski, reżyserski, filmowy. Okres studiów trzyletni. Nauka bezpłatna.

Ocalał warszawski **„Dom Aktora"** przy ulicy Mokotowskiej 58. ZASP warszawski przeprowadza obecnie remont tego domu.

Teatr Lalki i Aktora „Groteska" — pierwszy bodaj tego rodzaju w Polsce — powstał w Krakowie pod kierownictwem Wł. Jaremy. Lalki projektuje Zofia Jarema. Teksty — poety A. M. Swinarskiego. Przewidywane jest wystawienie opery buffo „La serva Padrona" Pergolessego, a także „Odyssei" Homera oraz „Don Kichota" i „Gulliwera". Próby pierwszej premiery — w toku.

Leon Kruczkowski objął stanowisko doradcy literackiego w teatrze im. Słowackiego w Krakowie.

Jako inauguracyjną premierę **Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach** wystawia „Zemstę" Fredry z Adwentowiczem w roli Cześnika. Z wielkiego repertuaru teatr zapowiada jeden z dramatów Słowackiego — „Balladynę" lub „Mazepę" oraz „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej. Dalej przewidziane są sztuki pisarzy współczesnych, a mianowicie: Krystyny Grzybowskiej „Promieniści" — rzecz osnuta wokół postaci Maryli Wereszczakówny, Jarosława Iwaszkiewicza „Maskarady" i Jerzego Zawieyskiego — „Bezdroża". Teatr katowicki obejmować będzie swą działalnością teren całego — rozszerzonego obecnie o Zagłębie Dąbrowskie — woj. śląskiego.

Czynne są też teatry w Lublinie, Częstochowie, Kielcach i Rzeszowie.

MUZEA

Zamek lubelski, słynne miejsce tortur tysięcy najlepszych synów Polski niepodległej i walczącej, ma być przekształcony w muzeum pamiątek historycznych.

W szybkim tempie odbudowuje Warszawa zniszczone przez najeźdźcę Muzeum Narodowe. Przystąpiono już do krycia dachu papą. Znajdą tu pomieszczenie wszystkie uratowane na terenie Warszawy dzieła sztuki, a więc obok dawnych zbiorów samego Muzeum — eksponaty zrujnowanej Zachęty Sztuk Pięknych, muzeum belwederskiego, zbiorów Ordynacji Krasińskich, Starej Warszawy itd. Część zbiorów, a także depozyty prywatne znajdują się już w Muzeum Narodowym.

Cenne zabytki Muzeum Narodowego rewindykuje z pow. sochaczewskiego Wydział Kultury i Sztuki stołecznej Rady Narodowej. Wśród znalezionych obrazów znajdują się arcydzieła szkoły flamandzkiej XVII i XVIII wieku oraz obrazy szkoły francuskiej. Ocalały też dzieła pędzla polskich malarzy: Kędzierskiego, Żmurki, Padlewskiego. Niemieccy rabusie w pośpiechu „ewakuacyjnym" nie zdążyli nawet usunąć z tych eksponatów nalepek Muzeum Narodowego.

Od „Plastyków" do „bloku śmierci"

Kawiarnia krakowskiego Związku Plastyków oparta była na zasadzie spółdzielczości. Dochody, jakie dawała kawiarnia — poza wydatkami, które szły na inwestycje — dzielone były na równe części, którymi opłacano cały personel artystów pracujących w kawiarni. W ten sposób blisko 100 plastyków miało zapewniony byt, a ponadto drugie tyle osób z rodzin artystów i kolegów, pracujących w innych instytucjach albo pozostających bez zajęcia, otrzymywało za najniższym wynagrodzeniem lub zupełnie darmo obiady i kolacje. „Kawiarnia Plastyków — jedyny lokal polski", tak głosił napis reklamowy w brukowcu krakowskim, uparcie i wytrwale umieszczany w dziale ogłoszeń, jakby kpił sobie i prowokował tych panów z ulicy Pomorskiej.

„Jedyny lokal polski" i tak też było w rzeczywistości. Może za dużo się tam piło — uderzmy się w piersi — za dużo trwoniono pieniędzy, ale jednak lokal ten był prawdziwym centrum polskości. Tu schodziło się towarzystwo wyłącznie polskie, tu był zjazd i rendez-vous Polaków z całego G. G. Rozmowy na temat polityki i spraw narodowych szły przy stolikach tak swobodne, często tak głośne i ożywione, że aż obsługa kelnerska musiała je przyciszać. Bo przecież tu i tam przy stolikach siadywali szpicle i konfidenci, przysłuchując się i obserwując pilnie. Lokal zyskiwał z każdym dniem na popularności, uczęszczany był tłumnie tak, że miejsca trzeba było zamawiać lub zdobywać. Wymarzona dla tamtych pułapka... niewód nastawiony na rozbawioną socjetę krakowską. Czekano tylko odpowiedniej pory, aż się napełni i będzie go można poderwać, wyłapać wszystkich... „krakowskich powstańców".

I stało się to dnia 16 kwietnia 1942 r. o godz. 6-tej, kiedy już sala była pełna gości. Nagle przed dużymi oknami kawiarni zaczernił się sznur samochodów. Zazieleniły się mundury gestapowców, wyskakujących z aut. Jak stado dzikich bestii, wypuszczonych z klatek, wtargnęli na salę. Z rykiem, wrzaskiem nieludzkim, wywracając krzesła i stoliki... brauningi w rękach... „Hände hoch!" Śmiertelna cisza zaległa na sali. Przerażone oczy kobiet padają na blade twarze towarzyszy; nie dający się stłumić lęk mówi im, że widzą ich po raz ostatni... Bo już ordynarne wrzaski, popędzanie brutalne, „mężczyźni pod ścianę, ręce do góry".

Przy bufecie młody Mieczysław Węgrzyn i Kazimierz Chmurski. Kazio odwraca się ku sali; charakterystyczny ruch ramionami, poprzeczny... nie traci fasonu, bierze w rękę kieliszek... „Ale to nie znaczy, byśmy tej wódki nie mieli wypić" — wycedził zwolna. Spokojne, precyzyjne przechylenie kieliszka w szeroko rozchylone wargi. Ostatni — rzeczywiście ostatni kieliszek, wypity z należytym uszanowaniem dla trunku. Kochany Kazio!... Potem ten, znany nam dobrze, ruch ręką w kierunku krawatki i spokojny, opanowany krok pod ścianę. Już tam też od stolika malarskiego podnosi się zwolna Ludwik Puget, dzierżąc w ręce żelazną kasetkę z drobnymi pieniędzmi na wymianę dla kelnerów. Jan Rubczak pobladł jak ściana, strzepnął kościstymi palcami, ociężale podniósł się z krzesła i z podniesionymi rękami kroczy za innymi. Cały rząd ciemnych postaci pod ścianą, ręce wznieśli ku górze, jakby Boga prosili o pomoc... tu i tam szorstkie słowa przy badaniu papierów niektórych gości — a potem już tylko kolejne wyprowadzanie skazańców.

Na sali cisza. Pozostały tylko panie i kilku szczęśliwych, których „wylegitymowano". Przez jasne szyby okien widać jak tamtych ładują do dużego auta — karetki, jednego po drugim... Ludwik Puget z kasetką w ręku... staruszek nie może wydostać się na schodki... Blisko przy oknie stojąca Giza Ważykowa dostaje nagle ataku histerycznego śmiechu (czyżby przeczuwała tragiczny los, jaki ją za półtora roku miał spotkać w Warszawie?)... bezradne miny stojących obok koleżanek... Jakiś pozostały jeszcze na sali gestapowiec podchodzi do niej z rękoma w kieszeni... „Warum lachen sie Fräulein?" pyta z głupawym uśmiechem. Nie przestaje się śmiać piękna kelnerka z kawiarni Plastyków, nie rozumie, nie czuje tego momentu zapasiony łysy łeb hitlerowskiego oprawcy.

Wieczorem po pogromie w zamkniętej kawiarni zebrała się garstka niedobitków — między nimi ci, którzy się cudem uratowali. Jeden wybiegł właśnie po zakupy do sklepu naprzeciwko, drugiego na dwie godziny, właśnie na te godziny zastępował kolega, trzeci, jak zawsze zresztą, tak i teraz spóźnił się do służby... Toczą się rozmowy na temat minionej ponurej chwili. Nadchodzi Zbigniewicz. Milczący, dziwnie blady i skupiony w sobie. Nie bierze udziału w rozmowie, tylko słucha. W pewnym momencie odzywa się twardo: „Teraz na mnie kolej. — Jakto? czyś oszalał? przecież uciekaj, póki czas". — „Nie! moje miejsce tam, razem z nimi..." wyrzekł stanowczo, z uporem. I czekał co dnia w kawiarni, aż zajechało auto z dwoma panami w obcisłych mundurach i zabrało go... na przesłuchanie. I cóż, czy znowu niepotrzebny, niepoprawny polski romantyzm, ofiarny pochód w objęcia śmierci? Raczej nie, tylko przeświadczenie, że tam jego miejsce, gdzie koledzy, nad którymi był postawiony jako... „Treuhänder", a zapewne i chęć usunięcia choćby cienia podejrzenia, że był wobec tamtych zbyt uległy, o co go pomawiano nawet w niektórych organach prasy podziemnej. Tak! to z własnej woli oddanie się w ręce oprawców, to był prawdziwie bohaterski czyn kolegi Zbigniewicza, za który cześć zasłużoną na tym miejscu składamy.

Po bestialskim wyczynie kawiarnia opustoszała. Wspomnienie dokonanego gwałtu czaiło się po kątach długiej sali. Stoliki puste obsiedli kelnerzy i kelnerki, pełniąc rolę gości. Rozmowy ciche, smutne i troska o los zabranych kolegów. Pierwsza wieść stamtąd to... kasetka. Żelazna kasetka Ludwika Pugeta. Dzierżył ją w dłoni w nadziei, że go uratuje, że właśnie wtedy pełnił służbę... Przeliczono pieniądze, brakowało 164 zł. Kwotę tę „zarekwirowano"... na koszta łapanki. Taką informację otrzymaliśmy z gestapo.

Wkrótce potem wraca jeden z kolegów, zwolniony z Montelupich, wraca „z dobrymi wiadomościami": chłopcy trzymają się świetnie, humor, dowcipy, wesołe anegdotki... przewodzi Kazio Chmurski i młody Węgrzyn. Po kilku dniach wraca drugi, już z Oświęcimia. Głowa ogolona do skóry. Ten milczy i tylko jedno słowo pada z jego ust: „Ratować ich, na miłość Boską, ratować!" Ale jak? Idą pisma, prośby, interwencje... wszystko na próżno.

Bo tam tymczasem już się wszystko dokonało. Już ich „zarejestrowano" w Schreibstubie... Wątła niteczka nadziei, że to na wywóz, do robót... Jednak potem „marsz" do umywalni... Blok Nr 11. To już koniec! Blok 11 to — „blok śmierci". Odebrano ubrania, na prawym pośladku chemicznym ołówkiem naznaczono numer porządkowy, i dalej czwórkami na słoneczne podwórko bloku Nr 11. Już je uprzątnięto po ostatniej egzekucji, już w słońcu wysechł piasek, wygładzony równiuteńko. Po bokach czekają rynienki na krew, by ją odprowadzić do ścieków.

A już się tam kręci oprawca, krótkonogi blondynek Palicz, SS-man i zaczyna pełnić swoje rzemiosło. Lekko padnie zeszczupłały do cna, w ostatni szkielet Tadeusz Różycki twarzą na piasek. Kaleka Siwek kusztyka powłócząc protezą. Ręce w tyle ujęte sznurem, duża głowa wbita głęboko w grzbiet wypukły, chorobliwe błyski padają z oczów, spode łba tu i tam... Jeszcze nie wierzy w to, co się ma stać za chwilę, że on, także on... kaleka... Suchy trzask, raptowne poderwanie głowy ku tyłowi... i wali się sztywno na bok bezkształtny czerep ludzki. Po nim trzeci, czwarty. A później przyniosą na noszach towarzysze przeżarte gorączką, dogorywające ciało Pugeta, położą ostrożnie na ciepły piasek. Po celnym strzale sturmführera, bez męki, bez świadomości tragicznego momentu, przejdzie wierząca dusza pana Ludwika do Boga.

Z kolei przyjdą ci rośli, silniejsi — Chmurski, Zbigniewicz i inni, by wynieść wynędzniałe strzępy ludzkie, leżące pokotem na ziemi. Potem wrócą czwórkami, by już sami, jako właściwi aktorzy tego makabrycznego dramatu, odegrać przeznaczoną im rolę. „Es ist vollbracht" — wyrzeknie obersturmführer Palicz, zacięte kościste łapska... spoza perkatego noska śmieją się diabelsko wąskie ślepia. Potem idzie „do siebie" i wyprowadza swoją jasnowłosą córeczkę na spacer. Po drodze opowie jej, jak to przed chwilą wymierzył zasłużoną karę polskim artystom, za to, że w Krakowie chcieli zrobić powstanie przeciw... „kochanemu führerowi".

A do Krakowa przychodzą urzędowe depesze: „Nie żyją". Nikt temu nie wierzy. Nie wierzą matki, nie wierzą żony, nie wierzą narzeczone — „wysłano ich do robót ciężkich do Norwegii, na wał atlantycki, do okopów przyfrontowych... ale żyją, na pewno żyją!"

Tymczasem sytuacja w kawiarni pogarszała się z każdym dniem. Wszelkie próby i wysiłki ratowania charytatywnej instytucji spełzły na niczym. Nastąpiło zamknięcie lokalu i konfiskata mienia. Prawie stu ludzi wyrzucono na bruk bez pracy, bez możności zarobkowania.

I tych 11 bohaterów, którzy swoją krwią zrosili suchy piasek bloku Nr 11, nie uratowało bytu kawiarni. Ich męczeńska śmierć była drogą zapłatą za dwa lata możliwych warunków życia 120 kolegów i koleżanek, była bezcenną ofiarą, a maleńką, lecz serdeczną cząstką tej olbrzymiej hekatomby, jaką całe społeczeństwo polskie zapłaciło za pięć lat „dobrobytu" stworzongo nam w G. G. przez bestialskiego najeźdźcę. W tej krwiożerczej hekatombie nie brakło polskich plastyków. Cześć ich pamięci! Nazwiska ich zostaną wyryte na spiżowej tablicy na ścianie domu przy ul. Łobzowskiej Nr 3.

(„Dziennik Polski", Kraków)

Komunikat

AGENCJI „POLPRESS"

Ze względu na to, że na arenie PENClubu (Klubu jednoczącego pisarzy całego świata) w imieniu Polski występują nieuprawnione do tego osoby, agencja „Polpress" ogłasza poniższy komunikat:

„Niżej podpisani pisarze polscy, przeważnie dawni członkowie PENClubu, po otrzymaniu wiadomości o wznowieniu przez tę organizację działalności przerwanej w okresie wojennym, postanowili wznowić swoją działalność, jako polski oddział PENClubu i powiadomić o tym jego centralne władze. Prowizoryczny zarząd ma skład następujący: Jan Parandowski (ostatni przed wojną prezes polskiego PENClubu), Zofia Nałkowska (przed wojną wiceprezes), Irena Krzywicka, Jan Wiktor. Prowizoryczny zarząd wkrótce przystąpi do pracy nad zrzeszeniem w organizacji jeszcze większej liczby pisarzy polskich, rozsianych po całym kraju na skutek działań wojennych. Adres dla korespondencji: Zofia Nałkowska, Łódź, Bandurskiego 8/6. Podpisali: Jan Parandowski, Zofia Nałkowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Irena Krzywicka, Jan Wiktor, Helena Boguszewska, Jerzy Kornacki, Tadeusz Brzoza, Leon Kruczkowski, Jalu Kurek, Jan Nepomucen Miller, Adam Polewka, Julian Przyboś, Leopold Staff, Pola Gojawiczyńska, Ewa Szelburg-Zarembina, Adolf Rudnicki, Mieczysław Jastrun.

OD REDAKCJI

Ze względów natury technicznej ostatnie dwa numery „Nowych Widnokręgów" wydane zostały bez daty. Numer niniejszy datowany jest 15 maja, będzie on jednak rozesłany wszystkim prenumeratorom, którzy opłacili prenumeratę za kwiecień; dotyczy to również numeru następnego.

Powstały w ten sposób brak dwu numerów zostanie wyrównany w niedalekiej przyszłości.

REDAKTOR — WANDA WASILEWSKA

Adres redakcji i administracji: Moskwa, Bolszoj Czerkasskij pierieułok 2/10. Telefon redakcji i administracji: K 0-73-48